Rok IV. Lwów, dnia 1 marca 1898. Nr. 5.

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

Dwutygodnik polityczny i społeczny.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Redakcya i Administracya: Lwów, ul. Antoniego Małeckiego 3.

Redakcya i Administracya otwarta codziennie od godz. 3—4 po południu.

DWA DOKUMENTY.

Znana w ogólnych zarysach czytelnikom naszym sprawa biskupa Symona, charakteryzująca dosadnie stosunek rządu rosyjskiego do duchowieństwa i kościoła katolickiego, dotychczas nie została należycie wyjaśnioną. Przeciwnie, umyślnie rozpuszczano o tej sprawie fałszywe pogłoski, dawano błędne informacye. Bo jużciż widoczna zła wiara znamionuje np. doniesienie rzekomego korespondenta watykańskiego o utworzeniu oddzielnej dyecezyi odeskiej jedynie w celu załagodzenia sprawy, albo wiadomość o rychłem przybyciu biskupa Symona do Płocka. Te i podobne wiadomości kłamliwe świadomie zfabrykowali kierownicy polityki ugodowej, rozumiejąc doskonale, że cała ta sprawa, zwłaszcza zaś zesłanie biskupa zadaje kłam ich twierdzeniem o zasadniczej zmianie polityki rządu rosyjskiego względem kościoła katolickiego. Z początku próbowali oni nawet w kilku pismach galicyjskich i poznańskich puścić insynuacyę, że właściwie biskup Symon najwięcej w tej sprawie zawinił, ale gdy to oszczerstwo wywołało oburzenie nawet w tych sferach, które politykę ugodową gorliwie popierają, użyli innej taktyki. Dowodzą teraz, że sprawcą »nieporozumienia«, jak się delikatnie wyrażają, był dyrektor »departamentu wyznań obcych«, wyższe zaś sfery rządowe mają najlepsze chęci i myślą tylko o tem, żeby tę przykrą dla nich sprawę w jakikolwiek sposób polubownie załatwić.

Podajemy niżej dwa dukumenty urzędowe, które otrzymaliśmy w dosłownym odpisie. Pierwszy z nich, podpisany przez ministra spraw wewnętrznych i dyrektora departamentu wyznań obcych, jest jakby aktem oskarżenia biskupa Symona i nawet bez komentarzy ujawnia w dostatecznej mierze wrogą i przewrotną politykę rządu rosyjskiego w stosunku do kościoła katolickiego. Treść tego oskarżenia, opierająca się na wiadomościach nieprawdziwych, na kłamstwach w złej wierze wymyślonych, na zarzutach drobiazgowych i śmiesznych, ma wszystkie znamiona bizantyńsko-prawosławnej kazuistyki i właściwej charakterowi biurokracyi rosyjskiej chytrości podstępnej. Oto przekład tego ciekawego dokumentu:

Ministerstwo spraw wewnętrznych. Depart. obcych wyznań 19 sierpnia 1897 r. L. 3334.

Do najprzewielebniejszego rzymsko katolickiego arcybiskupa mohilewskiego Szymona Kozłowskiego metropolity kościoła rzymsko katolickiego w cesarstwie rosyjskiem.

Odezwą z 29 kwietnia L. 2371 przesłałem zarządzającemu archidyecezyą mohilewską ks. biskupowi sufraganowi Symonowi pismo kardynała i sekretarza stanu w sprawie umowy zawartej między naszym rządem a Jego Świątobliwością Papieżem co do porządku obsadzenia opróżnionych parafii rzymsko katolickich w gubernii mińskiej z oznajmieniem o najwyższem zezwoleniu na wprowadzenie tego aktu w wykonanie.

Tekst tego pisma nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości, że wspomniana umowa dotyczy jedynie wakujących parafii i że pod służbą Bożą i Sakramentami umowa ta rozumie wszelką w ogóle służbę Bożą (*cultus officialis*) nie wyłączając i tych jej części, które przedtem winny były w tych parafiach być odprawiane w języku rosyjskim. Tymczasem biskup Symon w czasie, gdy Najprzewielebniejszy ks. arcybiskup wyjechał na urlop, pozwolił sobie w wykonaniu owego aktu na cały szereg nieprawidłowych czynów. Nie przedsięwziął żadnych kroków celem obsadzenia wakujących parafii, ale zaraz polecił konsystorzowi dać rozkaz administratorom tych rzymsko-katolickich kościołów, w których w rzymsko-katolickiej służbie Bożej używa się języka rosyjskiego, ażeby odtąd odprawiali służbę Bożą i administrowali św. Sakramenta w języku łacińskim do czego on, biskup Symon, nie był uprawniony. Po kilku dniach pod pretekstem wrzekomych nieporozumień z powodu umowy Stolicy Apostolskiej z naszym rządem co do zmiany języka rosyjskiego, w prowadzonego w niektórych kościołach gubernii mińskiej, na język łaciński, jakkolwiek o takiej umowie wcale go nie zawiadomiono, polecił konsystorzowi objaśnić proboszczom owych kościołów w tym duchu, że na podstawie owej umowy używanie języka łacińskiego odnosi się jedynie do służby Bożej i takich obrzędów liturgicznych, które odprawiają się wedle ksiąg liturgicznych kościoła rzymskiego, a że we wszystkich innych wypadkach (jak modlitwy, pieśni itp.) kapłan winnien używać tego języka, którym mówią zwykle jego parafianie i w którym oddawna odprawiają swoje modlitwy i pieśni i inne obrzędy religijne. Przytem biskup Symon w obu wypadkach zamiast jasno przetłómaczyć tekst pisma, — chociaż zresztą wobec tego, że wakujących parafii wcale nie obsadzał, nie potrzebował go tłómaczyć, — nazwał nie prawnie umowę co do porządku obsadzenia wakujących rzymsko katolickiej parafii — umową innego rodzaju (*drugowo roda*).

W obec tego mam zaszczyt upraszać najpokorniej Najprzewielebniejszego ks. arcybiskupa o przedsięwzięcie kroków celem zmiany owych nieprawnych zarządzeń Jego zastępcy, siejącego w kraju waśń, zamiast religijnego uspokojenia i celem dokładnego wykonania w myśl najwyższego zezwolenia owej umowy, zawartej między naszym rządem a Jego Świątobliwością Papieżem co do porządku obsadzenia wakujących parafii rzymsko-katolickich w gubernii mińskiej a o tem co nastąpi mnie łaskawie uwiadomić. Mi-

nister spraw wewnętrznych Goremykin. Dyrektor Mosołów.

Wszelkie komentarze są zbyteczne, wobec jasnej i szczerej odpowiedzi biskupa Symona, przesłanej ks. metropolicie Kozłowskiemu, który mu zakomunikował pismo ministra. Odpowiedź ks. Symona przytaczamy również w przekładzie z rosyjskiego, w tym bowiem języku muszą znosić się ze sobą władze duchowne w sprawach urzędowych.

Mohilewski biskup sufragan rzymsko katolicki 25 sierpnia 1897 L. 404.

Do najprzewielebniejszego arcybiskupa mohilewskiego i metropolity ks. Szymona Kozłowskiego.

Na pismo Waszej Przewielebności z 23 sierpnia do L. 2395 mam zaszczyt donieść co następuje:

Pan minister spraw wewnętrznych reskryptem 29 kwietnia b. r. L. 2371 wskutek najwyższego zezwolenia udzielił mi jako zawiadującemu archidyecezyą, celem wykonania, pismo kardynała sekretarza stanu, adresowane na imię Waszej Przewielebności, które zawierało w sobie uwiadomienie zarówno o żądanym jeszcze 11 czerwca 1877 przez Stolicę Apostolską zakazie używania języka rosyjskiego w rzymsko katolickiem nabożeństwie dopełniającem, jak i o zawartej w bieżącym roku umowie Jego Świątobliwości Papieża z naszym rządem co do ustanowienia w porządku kanonicznym (*ex canonicis formis*) proboszczów na wakujące (skutkiem wyż wymienionego zakazu) parafie dyecezyi mińskiej z poleceniem obsadzenia tych parafi w możliwie najkrótszym czasie.

Jak powszechnie wiadomo, parafie, wakujące z wyż wymienionych powodów, są dwojakiego rodzaju: jedne faktycznie nie obsadzone, w których nie było wcale kapłana, a drugie nielegalnie obsadzone, w których są księża, lecz nie mianowani w sposób prawem kanonicznem przepisany (*ex canonicis formis*). Są to mianowicie proboszczowie, którzy używają języka rosyjskiego przy służbie Bożej i otrzymali nominacyę od nie mającego żadnej władzy duchownej dziś już nieżyjącego prałata Żylińskiego. W wykonaniu wymienionego aktu kuryi rzymskiej, ja przedewszystkiem, jak świadczą akta urzędu archidyecezyalnego, przedsięwziąłem kroki celem obsadzenia, o ile to tylko było możliwe, przy braku duchowieństwa w archidyecezyi —tych parafii, w których nie było wcale kapłanów i w trzy lub cztery dni po otrzymaniu wymienionego aktu przedstawiłem i ze zgodą p. gubernatora mińskiego zamianowałem pięciu proboszczów i poleciłem każdemu z nich przy nominacyi, by w myśl umowy zawartej między Jego Świątobliwością Papieżem a naszym rządem odprawiali nabożeństwa i administrowali św. Sakramenta w języku łacińskim, wedle ksiąg liturgicznych św. kościoła rzymskiego.

W dalszym ciągu stopniowo mianowałem i innych proboszczów tak, że do sierpnia bieżącego roku obsadzono dziewięć wakujących probostw.

Co się tyczy parafii, w których byli księża, ale bez kanonicznej nominacyi, to po długiem wahaniu postanowiłem pozostawić tych księży na miejscu, wszelako, mojem zdaniem, było mym obowiązkiem objaśnić ich o wydanym z roku 1877 a w piśmie kardynała sekretarza stanu wzmiankowanym zakazie św. Stolicy używania języka rosyjskiego w nabożeństwie dodatkowem i poddać ich tym samym przepisom, którym podlegają inni proboszczowie i poleciłem konsystorzowi wypełnić to, zamieniwszy w ten sposób niekanoniczną nominacyę tych proboszczów na kanoniczną. Następnie skutkiem zapytań wystosowanych zarówno do mnie jak i do konsystorza, przez niektórych proboszczów i mianowanych i dawnych, co do tego, w jakim języku przy nowym porządku służby Bożej oni mają sprawiać takie czynności, jak czytanie Ewangielii św. ludowi, katechizacyę, nauki pasterskie i zapowiedzi, zapytania i przysięgi przy zawieraniu ślubów, ogłoszenia postów, odpustów, świąt galowych i. t. p. i jak oni mają zachować się przy różnych modlitwach i sprawach (*parochianos et pios canticos*) wykonywanych w kościołach wedle przyjętego zwyczaju przez samych parafian — ja zważywszy na to, że niektóre z tych czynności nie należą wcale do służby Bożej w znaczeniu liturgicznem (*cultus officialis*) inne zaś wykonują sami cywilni jedynie pod kierunkiem księdza, przed odjazdem moim z Petersburga na wizytacyę kościołów archidyecezyi z d. 16 czerwca poleciłem konsystorzowi rozesłać do proboszczów ogólną instrukcyę, w której wyjaśniłem, że we wszystkich wspomnianych wypadkach oni powinni na zasadzie powszedniego prawa i utartej praktyki używać tego języka czyli narzecza, w którem mówią, modlą się i wykonywują swoje obrzędy ich parafianie. W tem oto zawiera się cały szereg tych moich czynów, które wedle zupełnie niedokładnego (jak to poznać, choćby z samego zestawienia dat) ich przedstawienia przez Jego Excelencyę ministra spraw wewnętrznych w odezwie wystosowanej do Waszej Przewielebności dnia 19 sierpnia br. L. 3343 nazwano nieprawnemi i siejącemi w kraju waśń, zamiast religijnego uspokojenia. Nie! waśń posiali i sieją inni, ja zaś w moich wyż wymienionych czynnościach postępowałem wedle mego najgłębszego przekonania, z czystem sercem i sumieniem, nie uciekałem się do żadnych wybiegów ani forteli, a głównie dążyłem do tego, ażeby uspokoić umysły i zaprowadzić religijną zgodę w duchowieństwie katolickiem rozdwojonem rozmaitemi tłómaczeniami służby Bożej i w ludności gubernii mińskiej i wiem o tem napewno, że te czynności moje i rozporządzenia, jako oparte na przesłanem mi z najwyższego zezwolenia piśmie kardynała, papieskiego sekretarza stanu, wszędzie wywołały ogólną radość, że z tego powodu w wielu kościołach skutkiem nalegania samego ludu kapłani odprawiali osobne nabożeństwa o zdrowie i długie życie wspaniałomyślnego monarchy, który powrócił mu jego pasterzy i dozwolił mu modlić się i odprawiać religijne obrzędy tak, jak je odprawiali zawsze oni sami i ich ojcowie i jak to czynią bez przeszkód ich współwyznawcy innych parafii tegoż kraju, gdzie zachowuje się po dziś dzień ustanowiony od niepamiętnych czasów porządek służby Bożej. Mohilewski sufragan Biskup Symon.

Tak przedstawia się na podstawie dokumentów urzędowych sprawa biskupa Symona. Zesłanie nominata płockiego jest aktem gwałtu, nie mającym żadnego uzasadnienia prawnego. Ks. Symona ukarano po prostu za to, że zawiódł oczekiwania rządu, który spodziewał się po nim tolerowania popełnionego przez księży t. zw. rytualistów odstępstwa. Ani pojednawcze usposobienie, niejednokrotnie stwierdzone, ani »po długiem wahaniu się« uczynione ustępstwo w sprawie zatwierdzenia proboszczów, którzy nie byli kanonicznie mianowani, nie ocaliło ks. Symona od zemsty rządu, oburzonego na biskupa za pokrzyżowanie planu rusyfikacyi kościoła

katolickiego w kraju zabranym.*) Wiadomo, że wykonanie tego planu nie udało się rządowi rosyjskiemu, pomimo to wierny naczelnej zasadzie swej polityki —nieustępowania tego, co udało się mu podstępem lub gwałtem zdobyć — nie chce on wyrzec się zamiarów, które w innych okolicznościach może znowu popierać i o krok dalej urzeczywistnienie ich posunąć.

Śmiałem wystąpieniem swojem ks. Symon zaszachował uknutą w wyższych sferach rządowych intrygę i za to, jedynie za to poniósł karę.

Wyjaśnienie tej sprawy ma, zdaniem naszem, doniosłość w dzisiejszej dobie niepoślednią, bo rozwiewa gorliwie podsycane złudzenie, że polityka rządu rosyjskiego względem katolicyzmu wstąpiła, lub probuje wstąpić na nowe tory. Niestety, to są tory dawno i dobrze znane wielu dostojnikom kościelnym i zacnym kapłanom, ktyrych prowadziły na wygnanie lub tułactwo. Rząd rosyjski tak dobitnie zaznaczył w tej sprawie ciągłość i właściwości znamienne swej polityki względem kościoła katolickiego i duchowieństwa polskiego, że nawet najbardziej naiwni ludzi nie mogą się łudzić nadzieją »nowego kursu«, przynajmniej w tej sferze stosunków. Ci, co inaczej twierdzą, kłamią świadomie dla interesu lub z pobudek dyplomacyi ugododowej, sadzącej, że taka *pia fraus* jest potrzebną i dla kościoła i dla sprawy narodowej.

Rząd rosyjski nie omylił się w przewidywaniu, że gwałt, dokonany na osobie biskupa Symona, rzuci postrach na ludzi słabych. Biskupi katoliccy świeżo mianowani pod wrażeniem tego faktu wystosowali — nie protest—ale... adres wiernopoddańczy do cara, dziękujący za łaski kościołowi katolickiemu wyświadczone. Podanie w takiej chwili adresu jest jakby aprobatą bezprawia, jakby pośredniem potępieniem biskupa-nominata płockiego. O tem zapewne inicyatorowie adresu w swej naiwności dyplomatycznej nawet nie pomyśleli.

Z CAŁEJ POLSKI.

Czytelnie ludowe w Królestwie. Brak wiadomości o „monopolu wódczanym“. Zawód ugodowców. Niemożliwość zmiany systemu bez zmiany ludzi. Kilka uwag o sprawie reformy wyborczej w Galicyi.

Sprawą czytelni ludowych w Królestwie zajmuje się, o ile cenzura na to pozwala, prasa warszawska, a teraz zaczęli o niej pisać i korespondenci do pism galicyjskich. »O świeżo zakładanych po wsiach czytelniach — pisze *Ruch katolicki* — składających się zazwyczaj (?) w połowie z książek polskich a w połowie z rosyjskich, nadchodzą jednobrzmiące wieści, iż niewielki z nich będzie pożytek. Odsunięte od wpływu duchowieństwa i inteligencyi wiejskiej, oddane pod dozór komisarzy włościańskich, posiadają one charakter urzędowy, odstraszający naszego chłopa«. W pismach warszawskich znajdujemy wzmiaki, w których to samo wyczytać można. »Po wybuchu pierwszego zapału włościanie nie zgłaszają się w dostatecznej mierze po książki«, niektórzy korespondenci skarżą się na »niestosowny dobór« książek.

Nie o mniejszym lub większym pożytku z dotychczasowych czytelni powinna być mowa, ale o mniejszej lub większej ich szkodliwości. Śmieszną jednak byłaby obawa, że zakładanie czytelni z książkami rosyjskiemi pomoże rządowi do wynarodowienia ludu lub chociażby tylko do obałamucenia go pod względem politycznym. Wpływ lektury rosyjskiej może się okazać zgubnym dla jednostek, ogółu włościaństwa, nawet większości czytelników tych książek nie znieprawi. Zresztą rutyna urzędowa nawet dzieło rusyfikacyi obezwładniać musi.

Sprawa czytelni ludowych jest z tego względu przedewszystkiem dla nas ciekawą i ważną, że ilustruje nowy kurs polityki rządowej i kłamliwą, fałszerską taktykę ugodowców. Gdy czytelnie zakładano, *Kraj* i *Słowo* zapewniały, że społeczeństwo będzie z pewnością powołanem do udziału w tej sprawie. Na ten temat rozprawiano już o oddziaływaniu błogiem inteligencyi, ma się rozumieć, prawomyślnej politycznie, na lud. Sam p. Margrafskij wydał tej inteligencyi urzędowe świadectwo *błahonadiożnosti* i zaręczał, że rząd będzie miał z niej prawdziwą pociechę. Teraz o udziale inteligencyi nie ma już mowy, nawet *Kraj* wyliczając prawdopodobne i nieprawdopodobne zmiany i ulgi, o komitetach, któreby opiekowały się czytelniami, nie wspomina.

Z tego, że akcya wspólna inteligencyi ugodowej i rządu w sprawie czytelni nie doszła do skutku, cieszyć się raczej trzeba, niż smucić. Bo gdyby istotnie ta właśnie inteligencya gorliwie czytelniami się zajęła, gdyby ożywiła działalnością swoją projekt urzędowy, bałamucenie ludu przybrałoby większe rozmiary, mogłoby stać się skuteczniejszem. »Z polską szlachtą carski rząd« nie dokona wprawdzie cudu i ludu polskiego nie wynarodowi, ale dużo złego zrobićby potrafił. Tyle jeszcze żywotności w upadającej warstwie szlacheckiej zostało, że szkodzić dotkliwie sprawie narodowej może.

Nietylko komitety, mające opiekować się czytelniami, ale nawet t. zw. kuratorye trzeźwości uznał rząd rosyjski za przedwczesne w Królestwie. Ugodowcy niewątpliwie mogliby opiekować się trzeźwością i wstrzemięźliwością i rząd na ten skromny objaw działalności społecznej pozwoliłby im chętnie, ale widzi, że nie mają w społeczeństwie dostatecznej siły i powagi i nie dają rękojmi, że niewinnych kuratoryj nie opanują »żywioły nieprzejednane« lub wątpliwe pod względem politycznym. W zasadzie jednak rząd nie odrzuca współudziału społeczeństwa w tej gałęzi »pracy publicznej«, chce tylko poczekać trochę i przeświadczyć się dokładnie, czy prawomyślność nasza jest stałą, czy zdobyliśmy dojrzałość polityczną, potrzebną do spełniania ważnego zadania opieki nad trzeźwością ludu i prawidłową sprzedażą wódki. Zresztą w wysokich sferach nie rozstrzygnięto jeszcze pytania: jaką ma być rola duchowieństwa katolickiego w tej działalnosci. Powaga cerkwi urzędowej nie pozwala księdzu na przyznanie takiego stanowiska w kuratoryi, jakie zajmuje w tejże instytucyi w cesarstwie pop prawosławny. *Ksiendzowskaja intriga* nawet taką niewinną sprawę może wyzyskać dla swych celów.

Zaznaczaliśmy niejednokrotnie, że zaprowadzenie monopolu wódczanego w Królestwie da sposobność rządowi do stworzenia znacznej liczby posad dla urzędniczej hołoty moskiewskiej. Bo głodna szarańcza biurokratyczna, nie zdolna do żadnej pracy produkcyjnej, mnoży się w Rosyi z przerażającą szybkością i rząd musi zaspakajać różnymi sposobami jej żarłoczność. Przed kilkunastu laty przybywali do nas z Rosyi urzędnicy tylko na wyższe, lepiej płatne posady, teraz na najlichszą nie brak kandydatów. Powtarzamy nieraz w wielką pewnością zdanie, że żywioł rosyjski nie może się w Królestwie ani nawet na Litwie usadowić

*) Cały ten plan wyjaśnia znakomicie wydane w. r. 1896 dzieło ks. Przybyszewskiego p. t. *Język rosyjski w katolickim rytuale i nabożeństwie dodatkowem.*

i utrwalić. Wszelkiego autoramentu rusofile przytaczają ten argument na poparcie zdania, że rządy rosyjskie nie są dla nas niebezpieczne, nie mogą być tak niebezpiecznemi, jak rządy niemieckie. Jest w tem niewątpliwie trochę, powiedzmy nawet sporo słuszności, rzeczywistość jednak dowodzi, że kolonizacya biurokratyczna wzrasta i jest już dziś dla nas objawem niebezpiecznym. W kraju zabranym zmieniła ona w znacznej mierze skład ludności miejskiej, w Królestwie powolniej — bo napotyka większe przeszkody — do tego samego rezultatu zmierza. W wielkiem mieście, w Warszawie nawet stosunkowo liczna ludność rosyjska niknie w masie polskiej. Inaczej dzieje się w niektórych miastach prowincyonalnych zwłaszcza w mniejszych, gdzie nie ma prawie wcale niezależnej inteligencyi polskiej.

Sprowadzenie nawet kilkuset Moskali na posady w monopolu nie wiele stosunek dziś istniejący zmieni. Ale takie sposobności rząd wynajduje ciągle, musi wynajdywać chociażby dla pozbycia się tej niebezpiecznej hałastry, tego *lumpenproletariatu* urzędniczego.

Dotychczas ani w pismach warszawskich, ani w korespondencyach do dzienników poznańskich i galicyjskich nie znaleźliśmy wiadomości szczegółowych o obsadzaniu posad w monopolu. W Warszawie jeżeli nie przeważnie, to w znacznej liczbie zajmują te posady Polacy. Ale na prowincyi i to nietylko w guberniach lubelskiej i siedleckiej, gdzie wogóle Polacy wyjątkowo tylko posady rządowe otrzymują, dzieje się inaczej. Donoszą nam np. z Pułtuska, że tam w sklepach z wódką są sprzedawcami wyłącznie Moskale. Tak samo obsadzano wyłącznie żywiołem rosyjskim posady w kilku miastach gubernii łomżyńskiej i suwalskiej. Nawet po wsiach sprzedawcami wódki monopolowej są często dymisyonowani żandarmi i strażnicy ziemscy i t. p.

Niewątpliwie, gdyby nawet rząd podwoił liczbę sklepów z wódką i w każdym bez wyjątku posadził Moskala, rusyfikacyi kraju polskiego w ten sposób nie poprze skutecznie. Ale w organizacyi monopolu wódczanego ma gotową organizacyę policyjno szpiegowską, ma całą armię agentów, mogących bałamucić lud i to nietylko propagandą niewinnej lojalności. W Europie zachodniej i Ameryce wszystkie stronnictwa polityczne, prowadzące agitacyę wśród ludu, starają się o pozyskanie sobie szynkarzy. Wprawdzie urzędnik monopolu, sprzedający wódkę w sklepie rządowym w dużem mieście, stoi w innym zgoła stosunku do swych klientów niż szynkarz, lecz na wsi lub w małem miasteczku może niemal taki sam wpływ na ludność wywierać. Tego niebezpieczeństwa lekceważyć nie wolno i zawczasu trzeba pomyśleć o przeciwdziałaniu odpowiedniem.

Fakt uprzywilejowania Moskali przy obsadzaniu posad w monopolu świadczy również, że dotychczasowa akcya ugodowców nie przekonała rządu o lojalności społeczeństwa polskiego nawet w takim skromnym zakresie działalności publicznej, jakim jest sprzedaż wódki w sklepach monopolu. P. Nabliudatiel zapewnia uroczyście, że dowody lojalności »mogły mieć pewien wpływ na rozstrzygnięcie niektórych kwestyi w polityce wewnętrznej państwa«, ale, ma się rozumieć ani »pewnego wpływu«, ani »niektórych kwestyi« bliżej nie określa. Jusciż »pewien wpływ« mieć mogły, taki np., że kilkudziesięciu Polaków więcej otrzymało cenny przywilej sprzedawania wódki w sklepach rządowych. Gdybyśmy przynajmniej wiedzieli: ilu ten przywilej dostało, dzięki »dodatniemu wrażeniu«, jakie wywarła lojalność społeczeństwa polskiego, moglibyśmy bodaj w przybliżeniu ocenić wartość akcyi ugodowej w rublach i kopiejkach i wyrobić sobie pojęcie o zyskowności tego interesu...

Solidarne wystąpienie opinii publicznej, ujawnione niejednokrotnie na zebraniach wyborców przeciw ugodowym reminiscencyom i dyplomatycznym wybiegom Koła polskiego w parlamencie niemieckim i wogóle przeciw dotychczasowej chwiejnej polityce posłów — osiągnęło skutek zamierzony. Nietylko Koło zdecydowało się wyraźnie na głosowanie przeciw rządowemu projektowi marynarki, co, nawiasem powiedziawszy, wywrzeć może wpływ stanowczy na rozstrzygnięcie tej sprawy w parlamencie — ale po nieudanych próbach oparcia się rzekomemu »teroryzmowi opinii« zajęło stanowisko, odpowiadające życzeniom wyborców. Obawa utracenia mandatów i wpływu była niewątpliwie jedną z głównych, ale nie jedyną pobudką do tej zmiany. Mniejsza zresztą o to, jakie czynniki na zmianę poglądów politycznych i taktyki posłów oddziałały, dosyć zaznaczyć tylko, że obecnie nawet p. p. Cegielski i Komierowski, niegdyś najgorliwsi sojusznicy p. Kościelskiego, na politykę ugodową piorunują. Ba, życzliwe p. Komierowskiemu pisma przypomniały, że był on przecie przed kilkunastu laty »przyjacielem politycznym i osobistym śp. Niegolewskiego«. Słusznie skarcił ostro *Goniec wielkopolski* ten fortel niesumienny, szkoda tylko, że nie wyciągnął z tego faktu odpowiednich konsekwencyi w sprawie, którą właśnie żywo zajmuje się obecnie opinia publiczna w Poznańskiem.

Dziennik berliński bardzo wyraźnie określił, o co chodzi w danej sprawie, ale rozstrzygnął ją kompromisowo. Zdaniem jego nie radykalna zmiana osób, ale zmiana systemu jest potrzebną i wystarczy do unormowania stosunku posłów do społeczeństwa. Ta zmiana systemu już się w Kole dokonywa, zdecydowało się głosować przeciw marynarce, zdecyduje się i na inne »potrzebne rzeczy«. W Kole pozostaną ci sami ludzie, tylko politykę swoją zmienią.

Taką naiwną wiarę w możliwość zmiany systemu politycznego lub nawet tylko taktyki parlamentarnej bez częściowej bodajby zmiany ludzi objaśnić można chyba niedoświadczeniem młodzieńczem. Posłowie nie są i nie mogą być maryonetkami, których ruchami politycznymi kieruje wyłącznie wola wyborców. Posłowie powinni być rzeczywiście wiernymi wykonawcami tej woli, ale jednocześnie powinni być również ludźmi samodzielnymi Dwa te wymagania konieczne można wtedy tylko pogodzić, gdy poglądy i przekonania polityczne posłów będą zgodne z poglądami i przekonaniami społeczeństwa. Dziś tej zgodności dobrowolnej nie ma i nie mają też wyborcy zaufania do swych przedstawicieli. Doszło do tego, że w niektórych powiatach wyborcy nie chcą wcale słuchać sprawozdań poselskich, bo nie wierzą posłom i bodaj obawiają się, żeby nie zrehabilitowali się trochę wobec opinii publicznej, coby im następnie staranie się o mandat ułatwiło.

Nieufność społeczeństwa jest zupełnie uzasadnioną. Rozumie ono lub przynajmniej czuje instynktownie, że zarówno poglądy polityczn , jak i taktyka polityczna zależne są w przeważnej mierze od ludzi, którzy je stosują w życiu publicznem, od indywidualności i usposobienia tych ludzi, ich przekonań ogólnych, stanowiska społecznego, nałogów towarzyskich i t. d. W polemice z *Orędownikiem*, który dowodził, że na posłów nie koniecznie brać trzeba szlachciców a doktorów ale można

również szukać kandydatów w kołach »ludzi prostych i siermiężnych« — *Dziennik berliński* dowodzi, że w tych kołach znalazło by się zaledwie trzech, stosownych na posłów. »Jeżeli tak — odpowiada słusznie *Orędownik* — to wziąć tych trzech i zrobić początek". Na zarzut zaś, że niejeden z przemysłowców i wogóle ludzi na dorobku materyalnym zrujnowałby się, gdyby pojechał na posła do Berlina, organ ruchu ludowego tak odpowiada:

»Czego to ma dowodzić? Jest między adwokatami, lekarzami, i innymi ludzi z akademickiem wykształceniem wielu bardzo zdatnych na posłów, którzy jednak posłować nie mogą, boby także utracili dochody swoje w domu. Między posłami obecnymi mamy takich, którzy się w Berlinie rujnują nie z powoeu poselstwa, lecz Berlina. Czegoż to dowodzi? To dowodzi tylko, że czy hrabiów, czy doktorów, czy siermiężnych, nie należy posyłać do Berlina, jeżeliby skutkiem tego ich majątki i przedsiębiorstwa miały — choćby tylko zmniejszać się. O rujnowaniu się zaś przez poselstwo wogóle u nas — przy obecnem położeniu socyalnem—mowy być nie może. Nie dowodzi to jednak, żeby nie szukać innych ludzi do Koła. Między siermiężnymi zna *Dziennik berliński* 3, niech się znajdzie między wyższą inteligencyą także 3, to ich będzie 6. A gdyby tu i tam znalazł się jeszcze jeden stosowny, to w Kole sejmowem i parlamentarnem zasiadałoby po 8 posłów, dobranych z innego materyału, po 8 nowych ludzi, którzyby nam za zmianę systemu gwarantowali. Ponowny wybór tych samych ludzi nie gwarantuje za nic«.

»Dlaczego *Dziennik berliński* obawia się właśnie o siermiężnych, dobrze na swem stanowisku sytuowanych, żeby się na poselstwie nie rujnowali. Przecie jest publiczną tajemnicą, że między obecnymi posłami są tacy, którzy się na poselstwie faktycznie rujnują. Wiadomo także, że posyłaliśmy do Berlina, już rzeczywistych bankrutów, że jeden z nich na krześle poselskiem konkurs ogłosił i wyniósł się w świat, hen daleko ku Ukrainie, gdzie został przemysłowcem«.

»A teraz co do tej »siermięgi«, która stoi w tak wielkim dystansie do doktorów i hrabiów *Dziennika berlinskiego*. W Poznaniu, w Gnieźnie i Inowrocławiu mamy dość liczne obywatelstwo mieszczańskie, które, majątkowo nie źle sytuowane, tytułów doktorskich nie ma, a jednak ma dobre rozumienie obowiązków obywatelskich. Co prawda, dobrego materyału na posłów mało tam, ale nie mniej przecie, niż między szlachtą. A siermięga w Berlinie, co składa fundusze na utrzymanie *Dziennika berlińskiego*, co to za glinka polityczna? Ladajaka być nie może, kiedy z taką gotowością składa z pracy własnej zaoszczędzone grosze na własne pismo w Berlinie. Z tej glinki z czasem mógłby się wyrobić politycznie podatniejszy materyał. Jeżeli jednak z góry pisma nasze będą wmawiały w nasze wyrabiające się warstwy średnie podobnie jak *Dziennik*, że one stanowią tylko »siermięgę«, politycznie na nic nie podatną; jeżeli całe lata nasze pisma będą prawiły, że tylko w ich towarzystwie jest materyał na »wielkości polityczne«, »świeczniki« i »pochodnie narodu«, a po za tem towarzystwem są w najlepszym razie »łapichłopy i donkiszoty«, to nic dziwnego, że materyał na posłów po za warstwą szlachty tylko z trudnością musi się wyrabiać«.

O sprawie reformy wyborczej w Galicyi mówimy w rubryce właściwej, tu pragnąłbym tylko dodać kilka uwag uzupełniających. Projekt reformy, wniesiony przez lewicę demokratyczną i żądający utworzenia piątej kuryi przy wyborach sejmowych, nie wydawał się nam odpowiednim. Nie dziwimy się też wcale, że po doświadczeniu z piątą kuryą w Radzie państwa nie chciano wprowadzać jej do Sejmu. Uchwała w tej sprawie ostatniego zjazdu stronnictwa ludowego lepiej uwzględniała niewątpliwą potrzebę rozszerzenia praw wyborczych i, kto wie, czy w należytem sformułowaniu nie byłaby łatwiejszą do przeprowadzenia. P. Wójcik ułożył swój wniosek trochę naiwnie, żądając np. żeby ludność, mieszkająca na obszarach dworskich, głosowała w kuryi wielkiej własności, ale myśl stopniowego rozszerzania prawa wyborczego w kuryi IV i miejskiej lub nawet zaprowadzenia w nich powszechnego głosowania jest najpraktyczniejszem i najrozumniejszem rozstrzygnięciem sprawy. Gdyby zachowawcy galicyjscy przypominali choć trochę np. torysów angielskich, gdyby byli istotnie zachowawczymi politykami, nie zaś, jak są, przedstawicielami interesów swojej klasy, pojmującymi te interesy w duchu wyłączności i poziomego utylitaryzmu — wzięli by tę sprawę w swoje ręce i przeprowadzili reformę stopniowo. Ale oni zgodziliby się raczej na V kuryę — i zgodzą się, gdy ich konieczność do tego zmusi -niż na rozszerzenie prawa wyborczego ludności wiejskiej i miejskiej. Pogodziliby się od biedy i z niedorzecznością tworzenia wielkich okręgów wyborczych i ze szkodliwością agitacyi wyborczej, której właściwości dodatnie w takich warunkach znikają, a natomiast silnie występują ujemne, pogodziliby się nawet z faktem zasiadania w Sejmie chociażby 15 socyalistów, ale nie mogą się pogodzić z demokratyzacyą przedstawicielstwa krajowego. Rozumieją bowiem, że taka reforma wyborcza, jakiej żąda stronnictwo ludowe, zmieniłaby skład osobisty sejmu i stosunek siły stronnictw, a tego właśnie najbardziej się obawiają.

Nie odrzucenie wniosku lewicy jest faktem znamiennym, ale zachowanie się większości konserwatywnej sejmu w tej sprawie. Dosadnie określił w swej mowie tę politykę ciasną i ograniczoną p. Romanowicz. »Dziwna rzecz — pisze o niej *Nowa Reforma* — ci sami posłowie polscy, którzy w Wiedniu godzili się na zaprowadzenie V kuryi wyborczej, przeprowadzonej przez hr. Badeniego, nie chcą o tej kuryi nic wiedzieć we Lwowie. Ci sami polscy posłowie, którzy w Wiedniu układają adresy, żądają w nich uznania równouprawnienia dla Słowian, we Lwowie odmawiają ludowi polskiemu i ruskiemu równych praw obywatelskich. Panowie galicyjscy w Wiedniu są lepsi, a we Lwowie gorsi. Lepsi są w Wiedniu, bo tam wstydzą się przed Niemcami i Czechami zacofania, w Galicyi, u siebie nie wstydzą się niczego«.

Dla nas zachowanie się większości konserwatywnej nie jest bynajmniej dziwnem. Ci starzy rozpustnicy polityczni, którzy od lat tylu sprawami publicznemi handlują, nie mogą mieć poczucia wstydu, dziwnem by raczej było, gdyby je mieli.

Jedno z pism demokratycznych poznańskich, zaznaczając, że odrzucenie projektu reformy wyborczej było wielkim błędem politycznym, powiada:

»Lud polski i ruski będzie tak czy tak wybierał swych posłów do Wiednia, tylko nie będzie ich wybierał do Lwowa. Słusznie więc lud ten będzie w kraju powtarzał: z łaski Niemców mam prawo wyborcze do Wiednia, a z łaski panów galicyjskich jestem wyzuty z prawa wyborczego do Lwowa«.

I ci właśnie politycy, którzy prostem przejściem do porządku dziennego odrzucają projekt reformy i odsą-

dzają ogromną większość ludności miejskiej i wiejskiej od najważniejszego prawa politycznego, oburzają się następnie na to, że stronnictwa ludowe są obojętne dla sprawy rozszerzenia samorządu krajowego.

J. L. Jastrzębiec.

Z ZABORU ROSYJSKIEGO.

Warszawa 20. lutego 1898.

Powrót umysłów do równowagi. — Przeobrażanie się stronnictwa socyalistycznego. — Uchwały IVgo zjazdu tej partyi. — Zapowiedź rozpoczęcia agitacyi wśród włościan. — Możliwe następstwa tej agitacyi i jej następstwa niezawodne. — Nowe pismo nielegalne. — Torowanie drogi współdziałaniu między stronnictwami opozycyjnemi. — Protest młodzieży przeciw oszczerstwom i kłamstwom p. Stanisława Wydżgi. — Kto zwycięży w osobie Imeretyńskiego. — Ustępstwo na rzecz opinii publicznej.

Gdyby mi kazano streścić w krótkiem zdaniu sąd o dzisiejszym nastroju społeczeństwa polskiego w zaborze rosyjskim, nieznalazłbym słów innych, prócz tych trzech: »wracamy do równowagi!« Tak jest; wracamy do równowagi wszyscy, po przeżytych dniach gorączki i wzburzenia. Uspokaja się nawet obóz ugodowców, którzy niedawno jeszcze miotali się, czyniąc wrzawę po dziennikach swoich, po salonach »towarzystwa« i »inteligiencyi«, po zebraniach napół publicznych i t. d. Dziś kłamią i uwodzą ludzi równie gorliwie, ale mniej zapalczywie, mniej jaskrawo i mniej głośno. Stronnictwa opozycyjne, pozbywszy się konieczności odbijania w lot ciosów i przetrącania ciągłych fałszerstw, zwracają się ku pracy pozytywnej, podejmują przerwane w roznamiętnieniu walki roboty bieżące i ruszają naprzód. Najmniej może wpływu rozstrojowego (w znaczeniu oczywiście przerwania ciągłości pracy) odczuła partya socyalistyczna, dlatego niewątpliwie, że program jej i duch mają przeważnie charakter ekonomiczny. Nie znaczy to przecież, żeby i ona nie reagowała na zjawiska natury politycznej. Przeciwnie — odczuwać je musi i odczuwa, czego dowodem najlepszym, że w swoim czasie wydała do robotników odezwę z powodu pobytu cara w Warszawie. Mieliśmy już sposobność zwracać uwagę na fakt przeobrażania się polskiej partyi socyalistycznej z doktrynerskiej przedstawicielki ciasno pojmowanych interesów ekonomicznych robotnika fabrycznego w stronnictwo polityczne, któremu przysługiwać może miano s o c y a l n o - d e m o k r a t y c z n e g o. Podczas gdy w Królestwie i w zaborze pruskim ewolucyę socyalizmu polskiego przy spieszyły rządy zaborcze, których prawa, instytucye i przedstawiciele bronią dostępu do mas ludowych i przeto są szkodliwe dla wszelkiej agitacyi, w Galicyi podobną rolę odegrało rozszerzenie ustawy wyborczej, wprowadzając socyalistów do parlamentu, a więc w bezpośrednie zetknięcie ze stronnictwami politycznemi i różnoplemiennemi, wobec których trzeba *volens nolens* obrać stanowisko polityczne. Animusz i charakter p. Daszyńskiego popchnęły posłów socyalistycznych na drogę parlamentarnie błędną i wstrętną, co jednak nie przeszkodziło temuż p. Daszyńskiemu odezwy swej, datowanej »w dzień Trzech Króli« uwić całkowicie z postulatów (paradoksalnych niekiedy) politycznych. Aczkolwiek nie wiem, w jakim do p. Daszyńskiego stosunku pozostają socyaliści z Królestwa, sądzę wszakże, iż stosunek zależności — jeśli istnieje — utrzymać się nie da, i stronnictwo socyalistyczne w zaborze rosyjskim nie tylko musi być niezależnem, i nie tylko powinno przodować galicyjskiemu, ale być bardziej od niego partyą polityczną. Otóż, zdaje mi się, że ostatni postulat urzeczywistnia się w oczach naszych.

Niedawno odbył się w Warszawie IV zjazd polskiej partyi socyalistycznej w zaborze rosyjskim. Uchwał zjazdu nie podaję, możecie je bowiem znaleźć w pierwszym lepszym dzienniku socyalistycznym, mnie zas zajęłyby one zbyt wiele miejsca. Poprzestanę więc tylko na omówieniu ich charakteru i doniosłości. Wskazówki co do zasad, obowiązywać mających partyę w razie zawierania umowy z socyalistami rosyjskimi, wskazówki, wymagające od Rosyan obietnicy przyjęcia bez zastrzeżeń i wpajania w społeczeństwo swoje przekonania o prawie Polski do samoistnego bytu, dowodzą, że partya uwierzyła mocno w to prawo i wiary swej nie wstydzi się, gardząc zarzutem »szowinizmu«. Zapowiedź rozpoczęcia seryi wydawnictw, które mają stanowić biblioteczkę robotnika polskiego, lubo program tych wydawnictw jest po staremu nieco doktrynerski, a plan nieco chaotyczny, wskazuje, że kierownicy partyi odczuwają potrzebę pogłębienia i rozszerzenia formułek agitacyjnych, a to w kierunku kulturalno-politycznym i w duchu społeczno-narodowym. Ale najważniejszem jest oznajmienie, że partya za przykładem socyalistów innych krajów europejskich zamierza rozwinąć agitacyę pośród ludności wiejskiej. Nie ulega wątpliwości, że znajdzie się tam dość żywiołów, gotowych do słuchania agitatorów socyalistycznych, bo chociaż nie mamy wielkich gospodarstw folwarcznych, posiadamy za to dużo chłopów bezrolnych, więcej jeszcze małorolnych i sporą ilość wyrobników wędrownych. Rozwinięcie agitacyi socyalistycznej po wsiach mieć musi w każdym razie konsekwencye nadzwyczajnie doniosłe, lubo pożyteczność ich zależeć będzie od zachowania się partyi. Nastręczają się bowiem dwa tylko możliwe wypadki. Albo stronnictwo zechce działać w szybkiem tempie i rzuci między włościan bezrolnych i służbę folwarczną słowa nienawiści do »panów«, gwałtowne wezwania do »walki o swoje prawa« i t. d., albo też będzie działało systematycznie, powoli i rozważnie, mniej dbając o ujawienie swej obecności i roznamiętnienie tłumów, więcej o uświadamianie ich klasowe i narodowe. W pierwszym razie przyjść może wkrótce do zatargów gwałtownych, do bójek, napadów i rozruchów, w drugim do przeciwstawienia się groźnej masy ludowej rządom zaborczym. Nie boimy się wprawdzie żadnych »rzezi« ani »bratobójczych noży«, sądzimy przecież, że sporadyczne utarczki z policyą i wojskiem, że chaotyczne żądania i płomienie wybuchów włościaństwa zupełnie bezrolnego nie wiele przyniosłyby pożytku, wiele zaś strat w ludziach, w energii, może nawet w rozwoju społecznym. Gwałty w stosunku do rządu nawet własnego, cóż dopiero zaborczego, wtedy tylko skuteczne być mogą, gdy są albo wojną narodową, powstaniem jednomyślnem i ogarniającem ludność całą, albo ostatnimi atutami agitacyi, groźnemi ostrzeżeniami ze strony masy, gotowej porwać się do walki, a umiejącej utrzymać i obronić te prawa, które posiada, i te, które posiąść pragnie. W przeciwnym razie będą to tylko r o z r u c h y—kosztowny i obosieczny środek propagandy. Z tego powodu, o ile obawiamy się rozwinięcia wśród włościan fermentów socyalnych przez migotanie przed oczami ludu wyłącznie sztandarem b o j o w y m i k l a s o w y m, o tyle nie mamy nic i owszem pragniemy agitacyi systematycznej, pojętej wszechstronnie i nacechowanej dążeniami p o l i t y c z n o - s p o ł e c z n e m i. Taka bowiem agitacya nie zwróci się przeciw »panom« jedynie,

nie zrodzi wybuchów nieokreślonego niezadowolenia i bezcelowych żądań, ale — skupiając siły ludowe na gruncie interesów ekonomicznych i przeciwstawiając ich potrzeby, ich żądania, ich ideały, ich politykę polityce, interesom i pojęciom warstw szlacheckich i kapitalistycznych — zwróci lud przeciw rządowi, z którym się szlachta i bogate mieszczaństwo wiąże, i który *status quo* broni. Wówczas dojrzałość obywatelska ludu poszuka w g m i n i e pola do urzeczywistnienia swych przekonań, do postawienia na pierwszem miejscu swoich interesów i do walki z rządem.

Bo nie należy zapominać o różnicy między stanowiskiem prawno-państwowem robotnika a stanowiskiem włościanina. Pierwszy u nas pozbawiony jest wszelkiej możności porozumiewania się i wypowiadania swoich żądań, drugi, przeciwnie, upoważniony jest do tego. Najlegalniejsze nawet, byle zbiorowe żądania robotników są już uważane za rzecz poniekąd nielegalną, bo przez prawo nieprzewidzianą, najbardziej zaś zbiorowe, i nawet sprzeczne z prawem żądania włościan są postępkiem legalnie normalnym. To właśnie uprzywilejowane — w porównaniu z położeniem robotnika — położenie włościanina polskiego, ta możność i naturalna dążność przelewania pragnień w formy uchwał gminnych, bezpośrednio rząd obchodzących, a więc mających istotę polityczną, pozwala nam żywić nadzieję, że agitacya socyalistyczna wśród gromad wiejskich — jakkolwiek byłaby prowadzona — znajdzie w końcu wyraz polityczny, a więc i narodowo-patryotyczny i nie tylko prądu patryotyczno-demokratycznego nie osłabi, lecz owszem go wzmocni, a polską partyę socyalistyczną uczyni stronnictwem jeszcze więcej politycznem. W ten sposób zejście socyalistów na grunt wiejski, uprawiany nie od dziś przez stronictwo narodowo-demokratyczne, mojem zdaniem może wywołać w pierwszych chwilach współzawodnictwo i starcia — wobec niewygasłych nałogów, któremi żyją agitatorzy socyalistyczni — lecz niezadługo przyczynić się musi do zbliżenia obu stronnictw. Oby to było ostatnie starcie i obyśmy potem dążyli odmiennemi drogami, lecz bez nienawiści, do wspólnego celu.

Takiemu porozumieniu i takiej sprawie pragnie służyć *Walka*, czasopismo miesięczne, którego pierwszy numer ukazał się w Warszawie. »Pragnie ona wyodrębnić z pośród wszystkich działań partyjnych li tylko działania, mające na widoku odzyskanie i zachowanie naszej niepodległości«. »Pójdą z nami te wyraźnie zarysowane stronnictwa (»polska partya socyalistyczna i stronnictwo narodowo demokratyczne« powiedziano gdzieindziej), które najszerzej i najgłębiej sięgnęły w rdzeń narodowego istnienia, które, występując w obronie interesów narodowych, nie wahają się bronić praw najliczniejszej i najgłębszej warstwy narodu, praw ludu pracującego«. *Walka* pragnie »popierać wszelkie takie działania i zamiary stronnictw opozycyjnych, które w sposób bardziej bezpośredni wiązać się będą z naszym celem głównym oraz hamowanie takich zapędów i uniesień tychże stronnictw, które celowi temu szkodzą, bądź podsycając współzawodnictwo tam, gdzie może wystąpić współdziałanie, bądź też odciągając uwagę bojowników niepodległości ku zagadnieniom mniej ważnym w danej chwili dziejowej«. Prócz »zapowiedzi«, z której wzięliśmy zdanie przytoczone, *Walka*, zawiera artykuliki »Polityka złudzeń« i »Co to jest patryotyzm?«, dwa piękne »Sonety pokutne« i szereg drobnych uwag o sprawach bieżących, o głosach prasy ugodowej i prasy rosyjskiej. Ze stanowiska programowego nie mamy *Walce* nic do zarzucenia, ze stanowiska praktycznego — uważamy ją za zjawisko nadzwyczaj pożądane, ze stanowiska publicystycznego — zarzucić moglibyśmy nadmiar pierwiastku polemicznego. Zrodziła ją wprawdzie potrzeba protestu, protest atoli nie polega na samym tylko krytycznym frazesie, lecz na czynie, przeciwdziałającym wrogowi a czynem publicysty jest światła rada. Ponieważ jednak *Walka* zapowiada w paru miejscach, że zajmie się szczegółowo wykazaniem środków, »którymi zdobywa się ustępstwo na Moskalu«, możemy więc z ufnością czekać na dalsze jej numery, biorąc ton polemiczny pierwszego za dowód żywotności pisma, które pragnie wlać we współczesną myśl polską to, czego jej właśnie brakuje: namiętność, zapał, gorejące ogniem ofiary ukochanie sprawy walki, i płonące nienawiścią do zdrajców potępienie upadku. Jakiekolwiek czekałyby losy nowe pismo niecenzuralne, powstanie jego dowodzi siły prądu opozycyjnego, zawcześnie i zaśmiało pogrzebanego przez ugodowców. O jakże zbledli oni, ujrzawszy *Walkę!* jakże zadrżały im znikczemniałe serca, im, którzy kazali wierzyć carowi, że c a ł y n a r ó d składa dary u stóp tronu! Cały naród —. stwarzający trzecie ognisko niezależnej myśli w chwili owych zapewnień, odpowiadający okrzykiem „walka!« na propozycyę »ugody!«

Powracając do pisma, wyrazić muszę przekonanie, że obecność w kraju tego rodzaju biuletynowego wydawnictwa, zwłaszcza gdy — jak dowodzi przykład — można się zdobyć w nim na część programową, jest rzeczą konieczną. Nie będę zapewne zbyt dalekim od prawdy, gdy wypowiem domysł, że *Walka* musiała powstać nie bez pomocy ze strony partyi socyalistycznej, chociażby zaś było inaczej, sądzę, że w danym razie »współdziałanie« mogłoby okazać się możliwem i pożytecznem. Dla przeważnej większości inteligencyi patryotycznej hasła socyalistyczne są u nas niezrozumiałe, obojętne lub nawet niemiłe, wszakże wskazywanie tych »zamiarów i działań« stronnictwa socyalistycznego, które dla idei niepodległości są korzystne, zjednywałoby sympatyę ruchowi robotniczemu, a w niczem nie szkodziłoby partyi narodowej. Rzecz oczywista, że nie może być mowy o wspólnem w y d a w a n i u pisma przez obie p a r t y e, które wciąż się różnią a często ścierają, ale może być mowa o wspólnem p o p i e r a n i u pisma przez oba o b o z y opozycyjne, jeśli pismo obu partyom służy, żadnej nie ganiąc zasadniczo. Z tego powodu mniemam, że *Walka* może pozyskać mnóstwo zwolenników i mieć wielką poczytność, o ile tylko wytrwa w kierunku obranym i o ile znajdzie gromadkę gorliwych wydawców, w każdym zaś razie świadczy o znaczeniu nastroju części społeczeństwa polskiego, powstając — powtarzamy — w chwili tryumfu »ugodowców«.

Ci ostatni doczekali się nowej odprawy ze strony młodzieży warszawskiej, która w odezwie swojej, datowanej 10 lutego b. r., zawiadamia publiczność, że postanowiła i wykonała protest przeciw wynurzeniom p. Stanisława Wydżgi, byłego sędziego śledczego, potem rejenta, a obecnie fabrykanta firanek i redaktora *Ateneum*. Wynurzenia owe zaszły w rozmowie p. Wydżgi z korespondentem, *Nowego Wremieni* Engelhardtem który usłyszał między innymi, że ugodowcy starannie uspokajają młodzież, jedyny wśród »poskromionej« i »wiernej« ludności w Królestwie żywioł opozycyjny. »Tymczasem najwierutniejszem kłamstwem jest — powiada odezwa — jakoby ugodowcy w czemkolwiek i kiedykolwiek uspokajali młodzież. Jedyną ich w tym celu uczynioną próbę podczas zajść listopadowych w uni-

wersytecie warszawskim młodzież otwarcie i ze wstrętem odrzuciła«. Otóż »w tych dniach kilku studentów uniwersytetu, występując jako rzecznicy lepszej części młodzieży, udało się do mieszkania Wydżgi i, nie przyjąwszy wyciągniętej dłoni uśmiechniętego fabrykanta-publicysty, wyraziło mu swą pogardę i oburzenie z powodu haniebnego jego czynu. Poczem w większej już liczbie udano się do redakcyi *Ateneum*, jako widomej areny działalności publicznej tego pana, i tam wobec jednego z członków redakcyi jeszcze raz napiętnowano »podłe wystąpienie Wydżgi«. Bezpretensyonalna odezwa dzielnego grona młodzieży kończy się takiemi rozumnemi i gorącemi słowami: »Radzimy wszystkim wogóle ugodowcom, jako ludziom, ciążącym ku rządowi rosyjskiemu, aby się nie ważyli występować w imieniu całego społeczeństwa, gdyż, chociaż za sobą mają arystokracyę i kapitalistów oraz ich pachołków, w osobach Pilzów, Godlewskich i Straszewiczów, a na obronę swą bagnety carskie, — przeciw sobie mają olbrzymią większość »poskromionego«, społeczeństwa: inteligencyę, młodzież, robotników i lud wiejski«.

Jakże wyglądają zapewnienia ugodowców o bezwzględnejlojalności wszystkich warstw narodu i o podrastaniu pokolenia rozumnej młodzieży w obec faktów, które zestawiłem w dzisiejszym liście?

Imeretyński dotąd nie wrócił z Petersburga. gdzie zresztą — jak mówią — znalazł dobre przyjęcie. Należałoby ztąd wnosić, że pozostanie w Warszawie na czas dłuższy, a wraz z nim utrwali się prąd, zmierzający ku wyprowadzeniu do Królestwa instytucyi ogólnopaństwowych, w czem ugodowcy widzą wielką łaskę, my — raczej szkodę. Po pierwsze owe niby samorządne ciała i organy miejskie i wiejskie będą oddane w ręce klas najzamożniejszych, co równa się usunięciu ludu poza obręb wszelkiej zbiorowej działalności obywatelskiej i zaniedbaniu najważniejszych potrzeb i najistotniejszych interesów ludowych. Po drugie, przez utrwalenie wpływów szlachty i mieszczaństwa zapanuje w polityce kierunek ugodowy, w życiu kulturalnem klerykalizm i wstecznictwo. Po trzecie zatrą się cechy, wyodrębniające Królestwo od gubernii rosyjskich, a na organizatorów i przewodników nowych instytucyi zjadą nowe zgraje Moskali. W końcu bylejakie reformy dadzą powód do uwielbiania cara w pismach ugodowych i do ogłupienia nowej gromadki ludzi mniej myślących i niezbyt daleko widzących. W każdym razie wszelkie reformy i zmiany każą na siebie długo jeszcze czekać, bo dotąd nie weszły na porządek dzienny.

Dowiedzieliście się już z telegramów, że na założenie uchwalonej w zasadzie politechniki warszawskiej cesarz przeznaczył ów milion rs., ofiarowany mu przez »komitet obywatelski«. Jest to wielkie zwycięztwo opinii publicznej, kierowanej tym razem przez umiarkowaną opozycyę, nad zacietrzewionymi ugodowcami w rodzaju owego wielkiego męża stanu, który nosi słusznie nazwisko Baranowskiego. Długo nie chcieli oni słyszeć o czemkolwiek innem, prócz przytułku dla starców czy kalek, dopiero pod naciskiem powszechnego oburzenia wycofali się z kampanii, prowadzonej przez *Kraj*, *Słowo* i p. Bolesława Prusa w *Kuryerze Codziennym* i — zwrócili się za pośrednictwem Imeretyńskiego z prośbą o przeznaczenie ofiary na politechnikę. Rzecz skończyła się pomyślnie, ale tradycya stańczykowska kazała ugodowcom zbłaźnić się *coram populo*.

X-vita.

Z ZABORU PRUSKIEGO.

BANKRUCTWO POLITYCZNE.

Znamiennym objawem przełomu w opinii publicznej zaboru pruskiego są coraz śmielsze wystąpienia ludzi, zajmujących poważne stanowiska w społeczeństwie, wystąpienia, które poruszają kwestye zasadnicze polityki narodowej. Do takich wystąpień zaliczamy list p. Karpińskiego, mecenasa z Gniezna, ogłoszony w dziennikach poznańskich p. t. »Nasze bankructwo polityczne«.

Zaznaczywszy, że nie ma obecnie żadnej łączności między posłami i wyborcami i że ci ostatni muszą sami zdawać sobie sprawę z położenia rzeczy, p. Karpiński tak dalej pisze:

»Parlamentaryzm polski od czasów ery konstytucyjnej w Prusach aż do dni dzisiejszych, nastręcza pole do interesujących uwag i porównań. Jakaż to była dawniej jasna, otwarta, rycerska walka między posłami naszymi a rządem. Minister Eulenburg powiedział: musicie zostać Niemcami, za to przy innej sposobności Władysław Wierzbiński woła: Polska będzie i być musi; Niegolewski uważa Koło polskie jako ambasadę przy państwie zaborczem; Taczanowski grozi, że jeżeli rząd dalej tak nas traktować będzie, to oczy nasze na wschód się zwrócą; przy etacie głosuje Koło przeciwko całej pensyi Bismarcka, za co ten się rewanżuje i przy najbliższej sposobności posyła nas do Monaco«.

»Jakaż dzisiaj jałowizna, jakaż obłuda po jednej i po drugiej stronie, mianowicie w parlamencie niemieckim. W przemówieniach posłów niektórych widoczne unikanie wyrazu: »my Polacy«, »naród polski«, »polscy posłowie« i posługiwanie się wstrętnem: »moi przyjaciele polityczni«, albo jeszcze lepiej, »moi towarzysze frakcyjni«, zapewnianie rządu i parlamentu, że posłowie polscy uważają się za przedstawicieli całego narodu niemieckiego, tak jakby od lat 27 nie było to już napisane w paragrafie 29 konstytucyi niemieckiej; głosowanie delegata Koła w komisyi finansowej za wydatkiem dla 33 trębaczy sztabowych i 264 trębaczy zwyczajnych przy nowo uformowanych pułkach, aby te, jak uniewinniał się później ten sam poseł w jednej z gazet poznańskich, pozbawione kapeli nie uchodziły za drugorzędne i słusznie! bo jakież byłoby nas Polaków życie, gdyby pułk garnizujący w Karlsruhe lub Tübingen nie miał kapeli wojskowej!«

Posłowie na usprawiedliwienie swoje dają niezadowolonym odpowiedź przypominającą zdanie mistrza ceremonii w III części *Dziadów:*

Rząd ma swe widoki, ma głębokie cele,
Które musi ukrywać... to jest rzecz rządowa,
Tajniki polityczne... myśl gabinetowa,
Panowie na wsi, to tak chcecie o cesarstwie
Wiedzieć wszystko, jak gdyby o swem gospodarstwie.

Rząd pruski nie bawi się w dyplomacyę i na politykę posłów polskich odpowiada funduszem stumilionowym na kolonizacyę.

»Patrząc na dzisiejszą walkę parlamentarną w Berlinie i na stosunek posłów do wyborców w kraju, musimy powiedzieć sobie, że ten sposób parlamentarki jest nadal niemożebny, że tego przelewania z próżnego w puste, tej pracy bezproduktywnej, tej hypokryzyi po jednej i po drugiej stronie, mamy my wyborcy zupełnie dosyć. Jest czas największy stawić wniosek o zamknięcie dyskusyi. Temat jest wyczerpany«.

Dotąd zgadzamy się z p. Karpińskim bez zastrzeżeń. W zasadzie słusznem jest również zdanie, że parlamentaryzm wszędzie upada, a więc i nasz parlamentaryzm polski w Berlinie i że koniecznością jest »zmiana radykalna i zerwanie z dotychczasową praktyką«.

Zgodzić się też można z następnemi uwagami p Karpińskiego, że

...»uległość i usłużność zaborczemu rządowi nigdy nam nic nie pomogła i dzisiaj w obec panującego prądu nic pomódz nie może. Posłowie ostatniego sejmu grodzieńskiego na niemej sesyi z dnia 23 września 1793 r. zgodzili się na drugi rozbiór kraju, myśląc, że tem na pewne uratują resztę Polski od zagłady, a już 3 listopada roku następnego szturmował Suwarow Pragę. Jeżeli oni mają jeszcze w swym kołczanie oprócz milionowego funduszu inne strzały, to je z pewnością puszczą na nas bez względu na nasz »rozum polityczny«.

Ale dalsze rozumowanie, że »tam gdzie walczyć się ma ze złą wolą, gdzie z zupełnem przeświadczeniem większość nam powiada, iż nowe 100 milionów nie są przeciw nam skierowane, że oni jęczą pod naszem jarzmem, tam nie mamy co dłużej robić«, to rozumowanie jest błędnem, jak również wniosek, że »jedynie godną rzeczą jest abstynencya«. Zresztą p. Karpiński abstynencyi zupełnej nie żąda, owszem chce »abyśmy jak najwięcej posłów polskich obierali, lecz zwolnijmy ich od obowiązku jeżdżenia do Berlina«.

Nawet *Orędownik*, który list p· Karpińskiego wysoko podnosi, wyznaje, że abstynencya byłaby szkodliwą i w praktyce nie dałaby się przeprowadzić, przypuszcza więc, »że p. Karpiński wyciągnął z swych niezbitych wywodów ostatnie konsekwencye, żeby całą sprawę obecnej reprezentacyi parlamentarnej sprowadzić do absurdum i zwrócić narodowi uwagę na to, że nawet to absurdum miałoby lepsze pozory za sobą, aniżeli ta polityka Koła parlamentarnego, której się obecnie nawet sami posłowie jak najuroczyściej wypierają, a jednak na gruncie jej stoją. Jeżeli posłowie mają jeździć do Berlina na to, żeby taką politykę prowadzić, to lepiej, konkluduje autor listu zupełnie słusznie, żeby wcale nie jeździli, tylko domu pilnowali«.

Być może, że p. Karpiński miał istotnie tę myśl, którą mu *Orędownik* podsuwa. W każdym razie list jego dosadnie charakteryzuje położenie obecne i stwierdza, że nadal dotychczasowa polityka jest niemożliwą, że trzeba radykalnie i system jej i skład osobisty kół poselskich zmienić.

W tym samym duchu zamieścił następnie list otwarty w *Dzienniku* poznańskim obywatel wiejski p. Hulewicz, który dowodzi, że w dzisiejszem położeniu »abstynencya« mogłaby być skutecznem odwołaniem się »do tronu«. (?)

KONCEPT POLICYI PRUSKIEJ.

Policya pruska w najrozmaitszy sposób prześladuje zebrania i towarzystwa polskie. W Lińcu (Prusy Zachodnie) odbyło się w r z. zebranie wyborcze, na którem przemawiał ówczesny kandydat na posła p. Jaworski. Ponieważ w sali z powodu natłoku panował straszny zaduch, a żandarm nie pozwolił na otwarcie okien, p. Jaworski oświadczył, że nastąpi przerwa na 15 minut, po których upływie wrócił do sali i mowę dokończył. Wkrótce po tem zebraniu wytoczono sprawę p. Jaworskiemu i restauratorowi, u którego odbyło się zebranie i skazano obu na karę pieniężną. Wyrok skazujący głosił, że pp. Jaworski i Schauer urządzili zebranie, nie zameldowawszy o tem policyi. W rzeczywistości zebranie było zameldowane, ale policya twierdziła, że odbyły się dwa zebrania, przedzielone przerwą 15-minutową,

Pan Jaworski został tymczasem posłem i ani policya ani sąd ławniczy nie uzyskały pozwolenia na dalsze prowadzenie sprawy przeciw niemu. Natomiast restauratora, który wyroku policyjnego nie przyjął, pociągnięto do odpowiedzialności sądowej. Wprawdzie sąd ławniczy uwolnił go od winy i kary, ale prokurator zaapelował do izby karnej.

Niedawno na posiedzeniu sejmu pruskiego, gdy poseł Rickert zaprotestował przeciw prześladowaniu przez policyę niemiłego junkrom pomorskim towarzystwa rolniczego *Nord ost* minister von der Recke przyznał, że sposób, w jaki policya obchodzi się w Pomeranii z prawem o stowarzyszeniach, »po prostu go przeraża« i że »najostrzej takie postępowanie potępia«. No, ale w tym wypadku chodziło o towarzystwo niemieckie, chociaż wolnomyślne, do zebrań zaś i towarzystw polskich rząd pruski stosuje z zasady inną miarę i obchodzi się z niemi nawet bezwzględniej niż z zebraniami i towarzystwami socyalistycznemi.

UPADEK RUCHU SOCYALISTYCZNEGO W POZNANIU.

Gazeta robotnicza w długim artykule, napisanym na podstawie wiarogodnych informacyi, skarży się na upadek ruchu socyalistycznego w Poznaniu.

»Kiedy przed tem parę razy w roku, choć z trudnościami, ale mimo to zdobyto się na zebrania, a przynajmniej na 1. maja regularnie sprzedawano bony agitacyjne, bądź polskie, bądź niemieckie, sprowadzano broszurki i rozszerzano świadomość klasową proletaryatu w coraz szerszych kołach, publiczne wiadomości z poznańskiego ruchu pojawiały się w *Gazecie Robotniczej* regularnie i we wrocławskiej *Volkswacht* bardzo często, teraz od półtora roku (od 13. września 1896 r.) nie odbyło się ani jedno zebranie, nawet święto proletaryatu całego świata 1. maja wypadło zeszłego roku w Poznaniu z rubryki publicznej. Pokwitowań na agitacyę w *Gazecie Robotniczej* lub *Vorwärtsie* nie ujrzysz ani fenyga, o rozpowszechnianiu broszur lub odezw ani myśli, nawet tyle kroć razy zakładane biblioteki i czytelnie poszły w zapomnienie. Oryginalnych wiadomości o ruchu politycznym lub zawodowym proletaryatu w pismach partyjnych nie ujrzysz ani litery. A co się tyczy abonentów *Gazety Robotniczej*, to ze 105 jest ich obecnie 22«.

»W takiem pogrążeniu« — biada *Gazeta*, — znajduje się ruch socyalistyczny, »przed którym przed paru laty drżały tyrany i wyzyskiwacze i zbiry i szpicle bismarkowskie«. Wątpimy, żeby kiedykolwiek »drżały tyrany i wyzyskiwacze« ze strachu przed socyalistami poznańskimi, faktem jest jednak, że ruch przedstawiał się poważniej niż obecnie i wyższe warstwy w Poznańskiem doznawały pewnej obawy.

Wykazując przyczyny upadku ruchu, *Gazeta robotnicza* główną widzi w braku agitatorów, chociaż sama następnie z większą szczerością niż logiką przyznaje, że te główne przyczyny »nie są najgłówniejsze«. Zanim socyalna demokracya poznańska »stanie na czele ruchu zawodowego i politycznego«, jak spodziewa się *Gazeta robotnicza* — dużo jeszcze wody upłynie, jeżeli w ogóle kiedykolwiek ten fakt nastąpi.

Nam się wydaje, co zresztą socyalistyczny organ berlinski pośrednio stwierdza, że główną przyczyną upadku ruchu jest jego kierunek rzekomo kosmopolityczny, właściwie antynarodowy, germanizatorski. Socyaliści kosmopolici w zaborze pruskim są po prostu germanofilami, jak niegdyś w zaborze rosyjskim byli rusofilami. *Gazeta robotnicza* poniekąd to przyznaje, ale niema odwagi nazwać rzeczy po imieniu i nawet fałszywie ją objaśnia

Socyalizm pojmują — powiada autor artykułu — tylko ludzie obczytani (?), a gdzież to w świecie mamy takie zaniedbanie pod tym względem jak w mieście Poznaniu? Co czytasz, zapytał tow. F. towarzysza N., trzymasz *Gazetę robotniczą?* = Nie, bo towarzysze ci i ci nie pozwalają mi gazety abonować! — A to trzymasz pewno *Volkswacht?* — Nie, bo tej nie rozumiem. — Więc nie

trzymasz żadnej gazety partyjnej? — O, tak, trzymam *Wahre Jakob!*

Tu nie o to chodzi, że takie pismo, jak *Wahre Jakob* »robią organem partyjnym«, ale że robią tym organem pismo niemieckie, nie o to, że robotnicy »nie dowiadują się o swojem klasowem zadaniu«, ale że czytając pisma socyalistyczne niemieckie, »są nieraz głupsi niż byli« pod względem politycznym. *Gazeta robotnicza* — powtarzamy — z pewnością to rozumie, ale obawia się głośno powiedzieć i wykręca się frazesami.

NAUKA PRYWATNA JĘZYKA POLSKIEGO.

Policya w Poznaniu, jak donosi *Goniec Wielkopolski*, wypytywała jakąś panią, czy uczy dzieci czytania i pisania polskiego. Zapytywana odmówiła dania odpowiedzi. Przytaczając ten fakt, *Orędownik* dodaje:

»W szkole ludowej na Garbarach panny nauczycielki wypytywały uczennice polskie, czy pobierają jakie prywatne lekcye języka polskiego, gdzie na nie chodzą. Nawet mniejsze dziewczątka wypytywały, czy już wiedzą, że będą także chodziły na naukę polskiego czytania i pisania.«

»W szkole na placu Sapieżyńskim pewien nauczyciel wypytywał chłopców nawet o nazwiska tych osób, które ich uczą polskiego czytania i pisania, pytał czy ich biją, wyzywają, czy rodzice płacą za naukę itd.«

»Naszem zdaniem dzieci nie są wcale obowiązane odpowiadać na takie pytania w szkole i niech nie dają żadnej odpowiedzi. Jeżeliby miały istnieć w Poznaniu jakie niedozwolone szkoły prywatne z opłatą, czy też bez opłaty, to niech je policya sama śledzi i wyszukuje, nauczyciele i nauczycielki nie są na to, żeby policyą wyręczały.«

Nie ma prawa zakazującego nauczania, nie wolno tylko zakładać bez pozwolenia władzy szkółek prywatnych.

Trzeba więc tak naukę, która jest dozwolona, urządzić, aby ta nauka nie miała wyglądu szkółki prywatnej. Więc nie może być np. ławek w pokoju, ani też nie można brać pieniędzy za naukę, ani przyjmować po 20 lub 10 dzieci razem na naukę.

A ile wolno? pyta *Orędownik*. Jeżeli nie wolno uczyć 6 dzieci to 5, a jak nie 5 to 4, bo policya nie może nikomu zabraniać, żeby uczył po polsku dzieci za zgodą ich rodziców.

Podobne rady dawał już dawniej *Goniec*, który sprawą nauczania prywatnego dosyć gorliwie się zajmnje. Dotychczas ważność tej sprawy nie jest należycie ocenianą.

Nasuwa się pytanie: czy jakaś organizacya nauczania prywatnego jest w obec praw pruskich możliwą. Czytaliśmy niedawno zdanie, że przy dobrych chęciach dałoby się tę sprawę w pewnej mierze zorganizować lub przynajmniej uporządkować, a to niewątpliwie miałoby wielkie znaczenie.

Z GALICYI.

PO SEJMIE.

Sesyę sejmową zamknięto 22 lutego. Właściwie zamknęła się ona sama po wyczerpaniu całego materyału prac, objętych tak przedłożeniami Wydziału krajowego jak i samoistnymi wnioskami, które wyszly z inicyatywy poselskiej. Członkowie izby rozjechali się tedy pod dodatniem wrażeniem dni pracowicie spędzonych, a choć ta pracowitość nie zawsze była merytorycznie gruntowną, chwilami zaś żywo przypominała bezduszne »odrabianie« zadań szkolnych, mimoto jednak odbijała bądź co bądź korzystnie od pierwszej połowy sesyi, której nawet mdła rozprawa adresowa nie mogła pozbawić znamienia leniwej i gnuśnej bezbarwności.

Oprócz budżetu, który, jak zwyczaj każe, sam parę posiedzeń wypełnił, zajmowało uwagę Sejmu ku końcowi sesyi kilka spraw większego i szerszego znaczenia jak ustawy komasacyjne, reforma szkół średnich (wniosek p. Rottera), t. zw. poruczony zakres działania w gminach, zniżenie liczby lat służby dla nauczycieli ludowych, reforma wyborcza (wniosek lewicy) i wniosek klubu ruskiego (p. Wachnianina) z żądaniem dwujęzyczności w sądach i urzędach. Obie ostatnie sprawy omawiamy osobno. Tu tylko zauważymy, że w paru zasadniczych momentach nastąpiło wyraźne zbliżenie do siebie grup, tworzących lewą stronę Izby, szczególnie zaś klubów, pod wielu względami nie obcych sobie »demokratycznego« z »ludowym«. Zapisując ten fakt jako objaw niezaprzeczenie pożądany i pocieszający, należałoby mu tylko życzyć pogłębienia i trwałości.

Rozprawa budżetowa szerokim rozlała się strumieniem i może dlatego właśnie, że przemawiano tym razem bez dyplomatycznej wstrzemięźliwości, była od dyskusyi adresowej bezwarunkowo bardziej zajmującą. W ogólnych obradach zabrał pierwszy głos p. Stadnicki imieniem konserwatystów, jakby na to, aby p. Rotterowi dać sposobność do doszczętnego zgruchotania go w ciętej odpowiedzi; p. Zajączkowski wywodził żale wiecznie niezadowolonych Rusinów; p. Bernadzikowski omawiał ze stanowiska ludowego w sposób bardzo poważny dużo spraw politycznych, społecznych i ekonomicznych, żywo lud obchodzących i wywołał polemikę p. Górskiego, który z powodzi komunałów klerykalno-zachowawczych wydobył myśl *sui generis* nową, jakoby stronnictwo ludowe kryło tendencye wrogie porządkowi społecznemu; p. Romanowicz wystąpił po raz ostatni w roli krajowego ministra skarbu i w świetnym wywodzie budżetowym dał treściwy obraz polityki finansowej kraju i pogląd na jej zadania w niedalekiej przyszłości; p. Szczepanowski nakoniec w przemówieniu swem, jak zwykle pełnem interesujących niespodzianek poruszył między innemi społeczną szkodliwość wybujałej biurokracyi, uzasadniał potrzebę odpowiedzialności rządu przed Sejmem, wskazał na brak w Galicyi prawdziwych stronnictw politycznych i temu brakowi właśnie przypisał ciągłą niepewność wewnętrznej polityki kraju, wiodącą do nieuniknionych w następstwie wstrząśnień, trafnie potem scharakteryzował kwestyę antysemitizmu, z której przeszedł wreszcie do udziału duchowieństwa w życiu społeczno-politycznem, i ku niemiłej irytacyi stańczyków poparł twierdzenie p. Bernadzikowskiego, przypominając słowa ś. p. Windhorsta, że w sprawach świeckich rola duchowieństwa podlegać winna w zupełności sądowi świeckiemu.

Z szczegółowej rozprawy budżetowej zaznaczyć wypada jeden epizod ciekawy. Gdy na porządku dziennym stanęła pozycya zasiłku 3.000 złr. przyznawanego przez Sejm rok rocznie na rzecz towarzystwa ruskiego »*Proświta*«, które zajmuje się wydawnictwem książeczek dla ludu i zakładaniem czytelń ludowych, zabrał głos p. Cielecki, odczytał z jednej z owych książeczek p. t. »Bohdan Chmielnicki« ustępy ziejące wcale nie wstydliwą nienawiścią do narodu polskiego, i dowodząc ujemnej działalności towarzystwa, zaproponował skreślenie wspomnianej subwencyi. Drugi poseł, Czaykowski z Przemyskiego, poparł zarzuty faktami burzącego wpływu Czytelń przez *Proświtę* zakładanych, w których na wszystko inne, tylko nie na oświatę ludu jest miejsce. Między posłami ruskimi zapanowało bezradne wzburzenie. W obronie zdemaskowanej instytucyi przemawiali kolejno pp. Barwiński, Wachnianin i Sawczak; nie przecząc przytoczonym faktom, starali się tylko doniosłość ich osłabić i przyrzekali poprawę na przyszłość, a rzecz charakterystyczna, że radykalny p. Okuniewski, choć sam głosu nie zabierał, oburzał się jednak, gdy marszałek dał głos ponownie p. Cieleckiemu w odpowiedzi na wymijające

wykręty obrońców »Proświty«. I kto wie coby się było stało, gdyby nie przeważył szali na korzyść „Proświty“ zastępca marszałka biskup gr. kat. ks. Czechowicz, prosząc by nie odmawiano poparcia towarzystwu skąd inąd dla ludu ruskiego zasłużonemu i zapewniając, że odtąd sam działalność instytucyi usilnie będzie kontrolował. Po tem przemówieniu kwotę 3.000 złr. w zasadzie *Proświcie* Sejm przyznał, polecił wszakże Wydziałowi krajowemu, aby wypłatę subwencyi wstrzymał z chwilą, gdy się przekona, że towarzystwo działa w duchu jątrzącym.

Na jednem z ostatnich posiedzeń sejmowych p. Romanowicz złożył piastowany przez lat dziewięć urząd członka Wydziału krajowego, podając za powód, »nieodwołalne postanowienie powrotu do dawnego, ulubionego zawodu dziennikarskiego«. Ustąpienie p. Romanowicza z sejmowej władzy wykonawczej oceniać można z różnych punktów widzenia. Dla Wydziału krajowego przedstawia ono niewątpliwie stratę wielką, stratę siły, jak się marszałek krajowy słusznie wyraził, znakomitej, a jak przyzna każdy, kto stosunki zna, może wprost niezastąpionej, bo łączącej z indywidualnością wybitną i zdolnościami wielostronnemi, pracowitość wzorową i niespożytą, nadto wytrawną znajomość potrzeb kraju w rozmaitych kierunkach. Ale znaczenie tej straty zdaniem naszem maleje wobec korzyści moralnej, nie wahamy się nawet twierdzić społecznej, jaka tkwi w dymisyi p. Romanowicza i w jej prostym motywie. Kiedy wieść o niej rozeszła się po mieście i kraju, starano się dopatrywać najrozmaitszych pobudek, które byłego członka Wydziału krajowego skłoniły do porzucenia godności, najtrudniej zaś było ludziom przyjąć tę pobudkę, jaką on sam podał. Nie bardzo się też temu dziwić można, zwłaszcza w Galicyi, gdzie ideał »pewnego» i »stałego« stanowiska wszedł w krew i mózg całego społeczeństwa, starych i młodych, gdzie ludzie po za tym ideałem celu życia nie rozumieją prawie. Z tego też powodu krok człowieka w całym kraju znanego, który nie waha się jedno z najwyższych miejsc w rządzie krajowym i zaszczytne i oczywista rzecz nie najgorzej płatne, z własnej woli porzucić dla niepewnego chleba dziennikarskiego, jest aktem doniosłości społecznej, bo stwarza wyłom w pojęciach, pożądliwością karyery biurokratycznej zmateryalizowanych, jako taki zaś jest aktem szczerego uznania godnym.

WNIOSEK P. WACHNIANINA.

Jako jeden z dowodów nieszczerości, kryjącej się pod najczulszymi pozornie afektami konserwatywnej większości sejmowej wobec Rusinów, posłużyć może między innemi sposób załatwienia wniosku p. Wachnianina. We wniosku tym, jak wiadomo, klub ruski żądał uchwalenia ustawy, któraby w duchu zupełnego równouprawnienia regulowała stosunki językowe w urzędach państwowych Galicyi. Rzecz była postawiona jasno i zdawało się, że dwie tylko możliwe są drogi uporania się z nią: albo wniosek przyjąć jeżeli treść jego jest dla sejmu sympatyczną, albo w przeciwnym razie, odrzucić go bez ceremonii. Krętactwo stańczykowskie wynalazło przecież jeszcze trzeci sposób, który polega na tem, że się równocześnie zasadniczo oświadcza za wnioskiem, a praktycznie przeciw niemu. Sprawozdanie komisyi administracyjnej jest pod tym względem bardzo pouczające. Stwierdza ono przedewszystkiem, że do załatwiania spraw językowych Sejm jest jedynie właściwem forum, i wyraża przekonanie, że »z rozszerzeniem zakresu ustawodawstwa krajowego na wszystkie sprawy, dotyczące szczegółowych potrzeb i interesów kraju, musi także nastąpić stanowcze utrwalenie kompetencyi Sejmu w sprawach językowych«. Myślałby kto, że z powyższej przesłanki wynika logicznie wniosek: a więc kraju czy sejmu zadaniem starać się, by to utrwalenie kompetencyi językowej jaknajrychlej nastąpiło. Byłby jednak w błędzie, bo komisya zupełnie innego jest zdania, mianowicie twierdzi, że gdy stosunki dzisiejsze są niewyjaśnione i rząd w sprawach wewnętrznej polityki państwa a szczególnie w sprawie językowej nie zajął określonego stanowiska, przeto »komisya uważała chwilę obecną za niesposobną do jakiejkolwiek praktycznej akcyi ustawodawczej na tem polu i dlatego nie wchodziła w bliższy rozbiór myśli wydania ustawy o języku urzędowym«.

Natomiast daje sprawozdanie krótki przegląd obowiązujących po dziś dzień przepisów co do języka władz administracyjnych, skarbowych i sądów w stosunkach ze stronami, i pociesza się tem, że »wszelkie zmiany, jakie po roku 1860 (przedtem urzędowym był język niemiecki) następowały z biegiem czasu co do języka, w jakim strony do władz mogą, a władze do stron mają się odnosić, dotyczyły równocześnie i w równej mierze języków polskiogo i ruskiego,«... »obydwa też języki postawione są i obecnie zupełnie na równi przy przeprowadzeniu w szczegółowych przepisach zasady, że każdy ma prawo wyboru tego języka krajowego, w którym chce znosić się z władzą i w którym chce, żeby władza z nim się znosiła«... Wszystko to prawda, ale pociecha nie wielka, gdy się zważy, że te dziś obowiązujące przepisy polegają wyłącznie na rozporządzeniach ministeryalnych, więc na aktach, z natury rzeczy odwołalnych i nie dających żadnej rękojmi trwałości. Toż o nic innego nie chodzi, jak o utrwalenie podstawy równouprawnienia językowego w drodze ustawodawczej, co leży zarówno w interesie polskiego jak ruskiego języka w Galicyi.

Komisya administracyjna przestraszyła się jednak »niewyjaśnionych stosunków« i »niezdecydowanego stanowiska obecnego rządu« i niedość że nie przedłożyła sejmowi projektu ustawy językowej, ale nie zdobyła się nawet na odwagę wezwania rządu, aby przestał już raz uszczęśliwiać Galicyę językiem urzędowym niemieckim, dotąd obowiązującym i wszechwładnym w urzędach pocztowych, telegraficznych, kolejowych, oraz w żandarmeryi i zarządzie dóbr państwowych.

Wniosek komisyi wzywa jedynie rząd, aby »i nadal przestrzegał istniejących przepisów co do praw języków polskiego i ruskiego w administracyi politycznej, skarbowej i w sądownictwie, a w szczególności ze względu na nową procedurę cywilną i nowe ustawy podatkowe«.

Na ostatniem posiedzeniu sejmu przyjęto ten wniosek bez dyskusyi w milczeniu. Nad takiem, nawet nie połowicznem załatwieniem sprawy ogromnej autonomicznej doniosłości szczerze ubolewać należy.

REFORMA WYBORCZA.

W bilansie ubiegłej sesyi sejmowej jest jedna pozycya, bardzo ujemna, której osobna należy się wzmianka. Mówimy o stanowisku, jakie większość sejmu zajęła wobec wniosków, zdążających do reformy sejmowej ordynacyi wyborczej. Lewica wystąpiła z projektem zastosowania między innemi kuryi piątej do tychże wyborów, garstka zaś »dyssydentów« t. j. byłych członków lewicy, którzy porzucili jej szeregi ze strachu właśnie przed tym projektem, ograniczyła się żądaniem powiększenia liczby posłów z miast o dziesięciu. Nad obu wnioskami Sejm przeszedł do porządku dziennego, zalecił tylko Wydziałowi krajowemu przeprowadzenie badań, czy w danym wypadku nie dałoby się w przyszłości istotnie przyznać miastom więcej mandatów, ale co najwyżej — pięć. Po za tem reforma wyborcza dla rządzącego w Sejmie stronnictwa nie istnieje.

Niezmiernie ciekawa i charakterystyczna była ożywiona nad tym przedmiotem w pełnej izbie rozprawa.

Rozumnie i z zapałem bronili wniosku lewicy pp. Szczepanowski i Romanowicz, zwalczali go — ale jak zwalczali! — pp Vivien, Wojciech Dzieduszycki, Stanisław Tarnowski i sprawozdawca Górski, znany stańczykowski mirmidon. Pierwszemu z tej czwórki trzeba przynajmniej przyznać, że argumentował z parlamentarną przyzwoitością: oświadczył że zasadniczo nie występuje przeciw rozszerzeniu prawa wyborczego, wyraził tylko obawę, że po zeszłorocznych »smutnych« doświadczeniach z kuryą piątą dalsza reforma mogłaby przynieść społeczeństwu więcej szkody niż pożytku. Natomiast p. Dzieduszycki, niedawny kandydat na ministra galicyjskiego, płytkością poglądów i cynizmem ich wygłaszania przeszedł sam siebie. Sens moralny mowy tego »najpoważniejszego« dziś między stańczykami polityka, da się mniej więcej temi słowy określić: prawda, że w warstwach ludowych zrywa się burza i coraz głośniej rozbrzmiewają wołania o prawa obywatelskie, warstwy te jednak uważamy za niedojrzałe do życia politycznego, — nam nic się nie stanie, bo mamy dach nad sobą, siedźmyż spokojnie i czekajmy, aż burza przeszaleje... Słowa p dobne w ustach p. Wojciecha Dzieduszyckiego ani zdziwić nikogo, ani gniewać nie mogą, to tylkojest rzeczą głębokiego ubolewania godną, że tego rodzaju zacietrzewione w egoizmie kastowym mameluctwo, uchodzić może za wyraz poważnej, politycznej mądrości. A jednak tak jest. Hrabiego Wojciecha poparł wnet potem hrabia Stanisław, który podobno, jak twierdzą ci, którym dano było napawać się z bliska miodopłynną jego wymową, deklamował tak świetnie, jak może nigdy jeszcze, i większość sejmowa głosowaniem przyznała słuszność obu mowcom »dobrze urodzonym«.

Za wnioskami lewicy, oprócz członków tego klubu, głosowali tylko ludowcy i Rusini. Wniosek upadł, porażka ta jednak, spodziewana zresztą, tylko chlubę przynosi tym, którzy go postawili.

Z KRESÓW.

SCHRONISKO ROBOTNICZE CZY „ARBEITERHEIM.“

Walka z socyalizmem, nakazana duchowieństwu przez Rzym, doprowadziła — podobnie jak w miastach galicyjskich — i w Czerniowcach do założenia towarzystwa robotniczego »Przyjaźń«. Właściwie nazywa się ono „*Freundschaft*“ i ma na zewnątrz cechę niemiecką, pomimo, że na paruset członków, których sobie w ciągu roku zjednało, trzy czwarte to Polacy, a Niemcy tworzą zaledwie resztę. Kuratorem stowarzyszenia jest jezuita ks. Wierciński, Polak, rodem z Gniezna podobno, który jednak językiem niemieckim włada o wiele lepiej, niż rodowitym. Do zarządu wchodzą robotnicy z nazwiskami prawie bez wyjątku polskiemi, obrady wszakże odbywają się wyłącznie w koszlawionej mowie niemieckiej. Trudno sobie wytłómaczyć, jakiem prawem, nawet w kraiku tak wielojęzycznym jak Bukowina, język obcy, niemiecki, ma być wszechwładnym i panującym w łonie prywatnej instytucyi, którą utrzymuje i groszem swym ciężko zapracowanym wspiera robotnik polski, jakiem prawem, powtarzam, ten robotnik w swojem stowarzyszeniu, więc jakby w własnym domu, ma koniecznie posługiwać się mową, najczęściej dla niego niezrozumiałą. Wszelkie wymówki na temat stosunku do władz, urzędujących po niemiecku, lub na temat konieczności liczenia się z kilkoma, nie tak znów hojnie »wspierającymi« towarzystwo członkami Niemcami, nie usprawiedliwiają tego bynajmniej, — jest zaś rzeczą pewną, którą opiekunowie instytucyi zrozumieć by powinni, że stowarzyszenie, odbierając robotnikowi mowę ojczystą, innemi słowy wynaradawiając go, ani nie wyrobi w nim oczekiwanej odporności wobec agitacyi socyalistycznej an nie może mieć pretensyi do jakiejkolwiek pomocy z zewnątrz dla celów i zadań, choćby skądinąd chwalebnych. A po pomoc taką zamierza właśnie czerniowiecki „*Männerverein Freundschaft*“ zwrócić się niebawem do — Galicyi. Chodzi o rzecz następującą:

Na zebraniu towarzystwa odbytem 6 lutego kurator ks. Wierciński pragnąc rozwinąć działalność instytucyi w tym kierunku, aby ona mogła szerszym warstwom realne oddawać usługi, podniósł między innemi myśl utworzenia rodzaju przytułku (*Arbeiterheim*) — na wzór znanych schronisk brata Alberta — dla robotników, udających się przez Czerniowce na Bukowinę i do Rumunii. Przytułek taki byłby istotnie bardzo pożądany. Wiadomo, że rokrocznie, w sezonie wiosennym i letnim, odbywają się do tych krajów tłumne wędrówki ludu, zwłaszcza z środkowej i wschodniej Galicyi, idącego na roboty polne i leśne. Emigracya taka powrotna jest z wielu względów objawem ekonomicznie dodatnim, a i los robotników naszych w Rumunii — o ile, co się zdarza, nie padają ofiarą szalbierstw na miejscu — byłby wcale niezłym, bo zarabiają tam zwykle więcej niż w kraju i nieraz wracają z groszem zaoszczędzonym, — gdyby nie musieli przechodzić w drodze przez istne piekło wyzysku i rafinowanych oszustw ze strony werbujących pośredników. Żydzi, przeważnie pokątni agenci, uprawiają nierzadko z ludem galicyjskim procedurę, przypominającą średniowieczny handel niewolnikami. Robotnik, gdy się w ich ręce dostanie, zdany na łaskę i niełaskę bezwzględnego w niesumienności swej agenta, staje się pastwą haniebnego wyzysku, zarówno pod względem materyalnym jak fizycznym. Wielokrotne nawoływania, aby władze ukróciły samowolę tych pośredników, nie odnoszą skutku, spryt żydowski umie być dla władz nieuchwytnym i ujść karzącej dłoni. Potrzeba tu inicyatywy społecznej. To też gdyby w Czerniowcach, punkcie do tego najodpowiedniejszym, powstało schronisko, w którem chłop polski lub ruski, zamiast jak dziś włóczyć się po norach noclegowych, mógł znaleźć w drodze do Rumunii chwilowy przytułek, gdyby równocześnie i w związku z takiem schroniskiem powstało rzetelne biuro pośrednictwa pracy dla tego rodzaju robotników, któreby im mogło zastąpić dzisiejszych ajentów, stworzonoby rzecz z wielu względów doniosłego znaczenia.

W zasadzie przeto myśl podniesiona zasługuje na szczere uznanie. Dla urzeczywistnienia jej potrzebne są wszakże środki pieniężne, którymi czynniki miejscowe nie rozporządzają. Zwrócono tedy uwagę, że do zebrania odpowiednich funduszów powinnaby się przyczynić i Galicya, tymbardziej, że projektowana instytucya ma przedewszystkiem służyć robotnikom galicyjskim.

Uwaga bardzo słuszna, nie wątpimy też ani na chwilę, że apel do prywatnej i publicznej nawet ofiarności Galicyi na ten cel nie pozostałby bez skutku, — gdyby daną była rękojmia z góry, że w przyszłem schronisku Mazur czy Rusin galicyjski znajdzie rzeczywisty przytułek, że usłyszy w nim mowę ojczystą, że za pieniądze polskie nie zobaczy napisu „*Arbeiterheim*“ i nie spotka się tam z szwargotem niemieckim. Jeden na to sposób prosty, przekształcić wpierw czerniowiecki „*Männerverein Freundschaft*“ na stowarzyszenie polskich robotników »Przyjaźń«, jakiem jest w rzeczywistości, nadać mu charakter narodowy, polski, odpowiadający przeważającej większości członków. Pod tym warunkiem i prasa galicyjska i inne czynniki wpływowe przyjdą chętnie z pomocą projektowanej instytucyi. Warunek jednak spełnionym być musi.

ODEZWA POSŁÓW SLĄSKICH

Posłowie polscy i czescy po wystąpieniu z sejmu śląskiego ogłosili następującą odezwę »do ludu czeskiego i polskiego :«

»Wzywaliście nas wielokrotnie i usilnie, abyśmy w obecnej sesyi Sejmu śląskiego użyli najdalej idących środków dla zaspokojenia krzywd, które lud nasz znosić musi pod względem narodowym, politycznym i oświaty. Przykazywaliśmy sobie jak największą wstrzemięźliwość z pobudek patryotycznych (?) aby zażegnać smutne stosunki w państwie i wystąpić w obronie naszych wielkich interesów ekonomicznych wobec ugody austryacko-węgierskiej.

»Spodziewaliśmy się, że większość Sejmu oceni nasze uczciwe zamiary i nie będzie naruszać spokojnego przebiegu obrad sejmowych i zmuszać nas do walki i że wstąpi na drogę pokojowego pojednania, na którą my wstąpiliśmy. Niestety, stało się inaczej!

»Większość sejmowa naruszyła spokojny tok obrad, uchwalając wnioski, głęboko upokarzające obywateli tego kraju. Sejm nasz (śląski) żądał tego, czego nawet sejmy krajów niemieckich nie żądały, a mianowicie, aby język niemiecki uznano jako wyłączny język państwowy. Większość nie miała zrozumienia dla potrzeb swych współobywateli słowiańskich, którzy skutkiem języka urzędowego ucierpieć mogą na mieniu, czci i wolności osobistej. Zgłosiliśmy wniosek, aby uznano w zasadzie za słuszne nasze postulaty językowe, większość sejmowa jednak wnioski nasze odrzuciła i postanowiła nie porozumiewać się z nami co do tych wniosków, pomimo że były one prawnymi i ludzkimi postulatami.

»Takiej dotkliwej obrazy nie mogliśmy znieść i nie chcieliśmy splamić honoru ani własnego, ani honoru ludu słowiańskiego, nie chcieliśmy sprzeniewierzyć się naszym obowiązkom poselskim. Opuściliśmy Sejm, protestując i oświadczając, że w jego obradach nie weźmiemy udziału.

»Wyborcy! Ważny ten krok uczyniliśmy zmuszeni, po dojrzałej rozwadze, dla obrony słowiańskiego ludu; odpowiada on waszym życzeniom, a spodziewamy się, iż będzie z waszą korzyścią. Niezawodnie pochwalicie go, jednak nie zapominajcie, że na tem nie zakończyła się nasza walka sprawiedliwa. Jeszcze większe walki nas czekają! Będziemy je prowadzić i wy z nami, aż do ostatecznego zwycięztwa!

»*Na zdar*! narodowi i waszej solidarności!

W Opawie i Cieszynie 11 lutego 1898 r.

Msgre Ignacy *Świeży*, dr. Antoni *Gruda*, Wacław *Hruby*, Jerzy *Cienciała*, dr. Jan *Michejda*, dr. Franciszek *Stratil*.

Powtarzamy tę odezwę za innemi pismami w przekładzie z języka czeskiego, bo ogłoszono ją tylko w *Opawskim tydenniku*. Dla czego posłowie polscy nie zażądali, żeby Czesi podpisali również odezwę polską — pyta *Nowa Reforma*. Chyba dla tego, że ci patryoci autoramentu śląskiego lekceważą swoją narodowość. Nie mówią też w całej odezwie z wyjątkiem tytułu o ludzie polskim, tylko używnją wyrażenia lud słowiański, żeby broń Boże nie obrazić Czechów.

Z WYCHODZTWA I KOLONII.

POLACY W RIO GRANDE DO SUL.

Nietylko w Paranie ale i w najbardziej południowej prowincyi Brazylii, Rio Grande do Sul osiedli Polacy w znacznej liczbie. Stan ten większy od Parany, nie przedstawia jednak równie korzystnych warunków dla kolonizacyi, bo jest już stosunkowo dosyć zaludniony i to głównie przez wychodźców europejskich, Włochów i Niemców. Polacy mieszkają w miastach lub na koloniach, pomieszani z osadnikami, należącymi do innych narodowości, jedynie tylko wielka kolonia Sao Feliciano jest niemal wyłącznie polską.

W ostatnich czasach ruch narodowy między Polakami w Rio Grande do Sul ożywił się nieco. Gorliwie się krząta w Porto Allegro p. Zdanowski, który wydał w r. z. kalendarz polski, wcale dobrze ułożony, i zamierza wydawać pismo peryodyczne p. t. »*Wiek dwudziesty*,« oraz zakłada wolne towarzystwo literackie południowo-amerykańskie.

W Sao Feliciano rozwija działalność wielce pożyteczną ks. Maciej Pięch, za którego staraniem powstało w tej dużej kolonii 5 towarzystw polskich, mianowicie arcybractwo różańcowe, komitet kościelny, gwardya polska imienia Tadeusza Kościuszki, towarzystwo muzyczne i towarzystwo oświaty pod nazwą: »Czytelnia imienia Adama Mickiewicza«. To ostatnie ma na celu, oprócz utrzymywania czytelni, założenie szkoły polskiej. Obecnie kierownicy czytelni zwracają się do rodaków w »starym kraju« z prośbą o nadsyłanie książek, bo młoda instytucya nie ma jeszcze funduszów dostatecznych.

W zeszłym roku w argentyńskiej prowincyi Missiones graniczącej z Rio Grande do Sul założono 14 osad (?) polskich. Komisarz rządowy, który zwiedził te kolonie, chwali gospodarność i pracowitość Polaków i powiada, że w ciągu 4 miesięcy zrobili więcej, aniżeli mieszkańcy tych okolic w ciągu lat szesnastu. Kolonia polska Guarany nad rzeką Uraguayem w stanie Rio Grande do Sul, stosunkowo nie jest bardzo odległą od tych nowych osad, z któremi mogłaby dosyć łatwo nawiązać stosunki.

Kolonizacya polska, jakkolwiek bez żadnego planu prowadzona, bo tylko do Parany częściowo próbowano ją skierować, rozwijać się zaczyna powoli na wielkim obszarze, złożonym z trzech stanów południowo-brazylijskich i pogranicznych terytoryów argentyńskich i stanowiącym jakby jedną naturalną całość. Ma się rozumieć, żywioł polski powinien przedewszystkiem skupić się w Paranie, ale jeżeli tam się rozrośnie, to z konieczności ogarnąć musi i dwa inne stany Santa Catharina i Rio Grande do Sul, które oddziela od innych prowincyi Brazylii.

PRZEGLĄD PRASY.

= *Gazeta grudziądzka*, opisując wystąpienie posłów polskich i czeskich z sejmu śląskiego, zaznacza, że gdy ci posłowie wyszli z sali, zabrał głos superintendent Haase i zaczął piorunować na Czechów i Polaków, zarzucając im zdradę państwa, a następnie wyraził wdzięczność kardynałowi Koppowi za podpisanie wniosku posłów niemieckich, który dał powód do secesyi.

Szczególniejsza to bądź co bądź łączność pomiędzy protestanckim wyższym pastorem czyli superintendentem a katolickim kardynałem Koppem w tej walce przeciwko Polakom i Czechom. Czy to zaufanie dyecezyan do niego wzmocni i czy to wyjdzie katolicyzmowi na korzyść?

Zdaniem *Gazety grudziądzkiej* posłowie polscy w sejmie pruskim podczas obrad nad funduszem stumilionowym dla komisyi kolonizacyjnej powinni byli wyjść z sali.

Posłowi nasi powinni byli wtenczas albo zarzuty czynione narodowi, a szczególniej ludowi polskiemu, odpierać albo też wyjść ze sali obrad. Zdaniem naszem byłoby to drugie jeszcze najkorzystniejszem. Niechby sobie ci panowie swoje opowiadania o polskiej agitacyi czy też rewolucyi zwracali do pustych miejsc posłów polskich. Wygadaliby się przynajmniej raz swobodnie za wszystkie czasy.

= Prasa poznańska nie wiele dotychczas zajmowała się sprawą emigracyi i kolonizacyi i patrzyła na nią zawsze jedynie przez pryzmat stosunków miejscowych. Objawem wyjątkowym jest artykuł w tygodniku *Praca*, zatytułowany »Nasze wychodztwo«. Autor tego artykułu dowodzi, że Polacy w Stanach Zjednoczonych muszą się — prędzej czy później — wynarodowić, tam więc o przyszłej organizacyi wychodztwa naszego marzyć nawet nie wolno.

Zupełnie inaczej przedstawia się los wychodztwa naszego w Południowej Brazylii. Prowincye tamtejsze są jeszcze bardzo słabo zaludnione i wystarczy już zupełnie napływ kilkuset tysięcy wychodzców naszych, aby stanowili w dwóch lub trzech prowincyach większość liczebną. Kreolowie brazylijscy, pochodzenia portugalskiego, to szczep dziś zupełnie zwyrodniały, nawet fizycznie bardzo słabo się mnożący, a pod względem kultury w masach swych bynajmniej nie przewyższający naszych Maćków i Bartków. Zdolności asymilacyjnych szczep ten wcale nie posiada, pod względem ekonomicznym stoi bardzo nizko, więc tam wychodztwo nasze może się utrzymać przez wieki całe, może nawet w przyszłości stworzyć sobie byt niezależny i stać się czynnikiem politycznym, zwłaszcza, że obecna rzeczpospolita brazylijska, to ustrój państwowy na wskróś zgangrenowany, który za lada silniejszem wstrząśnieniem rozsypać się może na mniejsze organizmy niezależne.

Przystępujemy tedy do zreasumowania tego, cośmy poprzednio powiedzieli, i do wysnucia odpowiednich wniosków. Jeżeli tedy prąd emigracyjny nie da się wogóle u nas powstrzymać, to starajmy się o ile możności o to, ażeby skierowano go nie do Unii amerykańskiej, lecz do Brazylii. Ale to samo w sobie niewystarcza. Należy też otoczyć wychodztwo tamtejsze opieką, organizować je i utrzymywać z niem bezustanną styczność, zasilać nawet umyślnie siłami inteligentniejszemi, któreby tam odegrać mogły rolę przewodników. Gdy już strata nieunikniona, starajmy się ją przynajmniej zmniejszyć i złagodzić, uratować, co się tylko da. Tam na stepach i wzgórzach południowej Brazylii może powstać Młoda Polska — ale starajmy się o to, aby powstała, chroniąc się jednakże przed zbytniemi w tym kierunku ofiarami.

= Niedawno *Przegląd* lwowski zamieścił, czy też, zdaje się nam, powtórzył tylko artykuł innego dziennika o działalności konsulatu niemieckiego we Lwowie:

Zarzuciły mu nasze pisma, że bardzo cicho a skutecznie prowadzi akcyę germanizacyjną, mianowicie na koszt rządu niemieckiego wysyła do Niemiec młodzież, która tam kształci się na nauczycieli ludowych, a wraca do kraju, nasiąknięta nienawiścią do ludu polskiego i ruskiego. Rezultat tej akcyi jest już widoczny. Dotychczas koloniści niemieccy żyli w zgodzie, lubo nie w sąsiedzkiej przyjaźni z ludnością krajową, teraz zaś kolonista już nie chce z Polakiem rozmawiać po polsku, zwłaszcza jeżeli przypuszcza, że ten Polak umie po niemiecku. Pod tym względem okazują oni taką zaciętość, że naprzykład, jeżeli który z nich dostanie się do lwowskiego szpitala, to ze służbą mówi po polsku, ale od lekarza, lub zakonnicy domaga się rozmowy niemieckiej. Ta sprawa wymaga gruntownego zbadania, którem powinny zająć się właściwie czynniki rządowe i obywatelskie. Wytwarzanie nowej kwestyi w Galicyi, zasiewanie tu jeszcze jednego antagonizmu narodowego, grozi co najmniej kłopotem, od którego zawczasu trzeba się zabezpieczyć".

Nie myślimy bynajmniej występować w obronie konsulatu niemieckiego, wątpimy jednak, czy szkodliwa jego działalność mogła się już tak wyraźnie zaznaczyć, wątpimy zaś przedewszystkiem z tego względu, że konsulat od niedawna dopiero istnieje. Zresztą liczba kolonistów Niemców w Galicyi tak jest niewielka, że nietylko o niebezpieczeństwie ale nawet o poważnym »kłopocie« z powodu ich zachowania się nie może być mowy. Niemczyznę w Galicyi podtrzymują przedewszystkiem Żydzi, a następnie sami Polacy. Dziwi nas rownież, że baczni szperacze intrygi niemieckiej nie zauważyli jakoś dotychczas szkodliwej działalności konsulatu rosyjskiego, która niewątpliwie ma ścisły związek z propagandą moskalofilstwa wśród Rusinów i może istotnie sprawić kłopot poważny.

= Z powodu przemawiania na wiecu w Jarocimie redaktorów dwóch pism poznańskich (*Orędownika i Wielkopolanina*) pisze *Dziennik berliński*:

„Z wyborców jarocińskich nikt nie zabrał głosu, a szkoda wielka. Powinien był się znaleźć kto, coby zaznaczył, że ci panowie z Poznania nie mieli żadnego prawa przemawiać na zebraniu w Jarocinie w obronie, ani też potępiać tamtejszego posła, ani w ogóle mię zać się do spraw tamtejszego okręgu. Doczekalibyśmy się ślicznych stosunków, gdyby metoda ta się przyjęła i uwijali się po zebraniach naszych tacy mówcy nieproszeni."

Nie dziwimy się redakcyi *Dziennika berlińskiego* która uczy się dopiero polityki, natomiast z przykrem żdziwieniem czytamy potwierdzenie tego zdania w *Gońcu wielkopolskim*, który zawsze wygłasza wręcz przeciwną zasadę i dowodzi, że poseł nie jest przedstawicielem okręgu ale całego narodu, a więc nietylko przed wyborcami, ale przed ogółem, tj. wszystkimi obywatelami zdawać powinien sprawę ze swej działalności.

Ma racyą *Dziennik*, interwencya ta była potrzebną, jak dziura w moście. Gazety swoich sprawozdawców na zebrania posyłać mają na to tylko, żeby w pismach swych wierny dali obraz tego, co się na zebraniach działo, ale obywatele-wyborcy sami sobie już teraz bez redaktorskiej opieki osobistej poczynać umieją i powinni.

Radaktorzy nietylko faktyczni ale nawet ci »od kozy« są przecie także obywatelami i Polakami, nie zaś Poznaniakami lub Jarociniakami. Chyba niechęć osobista podsunęła *Gońcowi* zdanie jawnie przeczące jego zasadom politycznym, których tak konsekwentnie broni.

= Po długiem milczeniu zabrał znowu głos w sprawie polskiej znany p. Nabliudatiel - Markgrafskij i zamieścił w *Pietrb. Wiedomostiach* »list z kraju przywiślańskiego«, poświęcony prasie warszawskiej i zakordonowej.

Sanownego pułkownika gniewa fakt, że pisma galicyjskie »liberalno-radykalne, głoszące zasady narodowo-demokratyczne, które właściwie należy nazwać rewolucyjnemi« występują wciąż ostro przeciw prądom ugodowym P. Nabliadatiel wylicza cztery pisma: *Nową Reformę*, *Kuryera lwowskiega*, *Polaka* i *Przegląd wszechpolski* i sądzi, że przyczyny takiego zachowania się tych pism, przyczyny żarliwej obrony programu narodowo-demokratycznego szukać trzeba w obawie utracenia prenumeratorów.

Nie zdołają oni jednak — zapewnia p. Nabliudatiel — powstrzymać zbliżenia polsko-rosyjskiego, lubo mogą zahamować je na czas pewien".

Przedewszystkim zaznaczyć należy, że oprócz czterech wymienionych pism, wychodzących w Galicyi, które konsekwentnie zwalczają politykę ugodową są inne jeszcze, nielicząc socyalistycznych, które zasadniczo ją krytykują. Wrogim polityce ugodowej jest *Goniec wielkopolski*, krytycznie i sceptycznie nawet ocenia ją *Orędownik*, inne zaś pisma w zaborze pruskim wyzyskują właściwie obecnie stosunki polsko-rosyjskie dla swoich specyalnych celów politycznych. Ani krakowski *Głos narodu*, ani lwowskie *Słowo polskie i Dziennik polski* nie są bynajmniej przychylne polityce ugodowej, tylko dwóm ostatnim brak często konsekwencyi i znajomości stosunków w zaborze rosyjskim.

Powtóre, jeżeli pisma przez p. Nabliudatiela wymienione, muszą być, zdaniem jego, nieprzejednanemi w obawie utracenia prenumeratorów, to ten fakt dowodziłby tylko, że większość lub przynajmniej znaczna część społeczeństwa polskiego jest polityce ugodowej przeciwną. Bo gdyby większość społeczeństwa do tej polityki się skłaniała, to pisma, obawiające się utraty prenumeratorów, przemawiały by właśnie w duchu ugodowym. Ma się rozumieć, niezgrabna insynu-

acye p. Markgrafskiego jest równie fałszywą, jak jego logika.

P. Nabliudatielowi mocno niepodoba się dowodzenie pism liberalno radykalnych, że

„jeśli rząd rosyjski poczynił na rzecz Polaków szereg ustępstw, to jedynie pod wpływem konieczności, nie zaś za sprawą lojalizmu, zamanifestowanego przez pewien odłam społeczeństwa polskiego, i że system biernego oporu przeciwko zarządzeniom państwowym przyniósłby więcej korzyści, niż działalność „ugodowców".

Jego dusza żandarmska, dla której uśmiech carski jest już wielką »łaską«, oburza się na nazwanie dotychczasowych ulg (?) »nieznacznemi i z patosem woła:

Tak — panowie nieprzejednani. Przyjdzie niezadługo czas, że przekonacie się sami o bezskuteczności usiłowań waszych, jeśli dotąd niedoszliście do tego przekonania. Obrzucacie błotem ludzi. propagujących wysoki cel, ale błoto to do nich nie dosięga. Społeczeństwo polskie oceni to, żeście bezprawnie przywłaszczyli sobie monopol patryotyzmu. Wypadki warszawskie krwi wam nieco zepsuły, straciliście równowagę. Może nowy stomilionowy kredyt w Poznańskiem ochłodzi nieco wasz zapał i gorliwość w podtrzymywaniu, ku radości Niemców, waśni pomiędzy dwoma narodami pokrewnymi".

Niestety, »nieprzyjednania są mało wrażliwi na podobne argumenty i wiedzą, że nawet kredyt stumilionowy nie jest takiem bezprawiem jak np. zabronienie Polakom nabywania ziemi na Litwie i Rusi. Nie rozczula ich również rzekome pokrewieństwo, i, chociaż są demokratami, ich duma rodowa, duma wielkiego, kulturalnego narodu wzdryga się na każdą wzmiankę o mezaliansie fińsko mongolskim, pamiętając, że w tego rodzaju stosunkach on se salit mais on ne s'allie pas. —

Nie chcemy przypominać p. Nabliudatielowi dosadnego polskiego przysłowia, zaznaczymy więc tylko, że tak »za pan brat słowianin« może sobie rozmawiać chyba z p. Straszewiczem, którego artykuł o patryotyzmie, zamieszczony w *Kuryerze polskim*, wychwala.

Z współczucia dla wymownego pułkownika, którego nasza zatwardziałość polityczna mocno martwi, poradzimy mu szczerze, żeby nie ośmieszał się ciągłem uderzaniem w strunę solidarności słowiańskiej. Bo, doprawdy, sprawia to trochę komiczne wrażenie, gdy do wspólnego działania przeciw Niemcom wzywa »pokrewne« narody człowiek, który nazywa się Markgrafskij i którego ojciec lub najdalej dziad, jeżeli nie był— Żydem — to był Niemcem.

= Umieszczenie na wagonach kolei elektrycznej w Poznaniu napisów polskich oburzyło i przeraziło hakatystów. Komisya urzędowa badała dokładnie, czy napisy polskie są większe czy też mniejsze od niemieckich. *Berliner Neueste Nachrichten* pisze z tego powodu:

„Gdyby kolej elektryczna miała czysto polską lub przeważnie polską radę nadzorczą, to byłoby to jeszcze zrozumiałem, że ona ma wzgląd na takie uroszczenia polskości i wagonom nadaje polski wygląd. Ale na hańbę całej niemczyzny powiedzieć trzeba — w tej radzie nadzorczej zasiadają Niemcy. Dwaj z nich uchodzą za dobrych Niemców, ale nie mają albo odwagi, albo siły, żeby protestować przeciwko temu nie-niemieckiemu zachowaniu się innych członków rady nadzorczej".

„Polskie napisy na wozach, służących ogólnej komunikacyi, są bezpośredniem niebezpieczeństwem dla publiczności, władza bezpieczeństwa ma zatem obowiązek wystąpić przeciw temu. Władze nie powinny nikogo pozostawić w wątpliwości że wobec takich demonstracyi żartów nie znają i ludziom tym winny raz pokazać, kto jest panem w kraju. Już władza wojskowa powinna w interesie bezpieczeństwa żołnierzy, którzy koleją elektryczną będą jeździli, zażądać kategorycznie umieszczenia głównych napisów w języku niemieckim."

Z OBCEGO ŚWIATA.

BAJKA DYPLOMATYCZNA.

W sprawie kandydatury kreteńskiej zarówno z Berlina jak z Wiednia puszczono jednocześnie w świat wiadomość o nadzwyczaj pochlebnem przyjęciu, jakiego młody książę Witołd Czartoryski, przyszły ordynat gołuchowski, a młodszy syn zmarłych księcia Władysława i księżniczki de Nemours Orleańskiej, doznał ze strony sułtana i jego ministrów w Carogrodzie, dokąd przybył w przejeździe do Egiptu. Ztąd urosło zaraz przypuszczenie, że młody książę, jako spokrewniony z wszystkiemi niemal domami panującymi, jest przez Abdul Hamida upatrzonym na kandydata do generał-gubernatorstwa Krety, w razie porzucenia przez Rosyę kandydatury greckiej. Korespondent *Berl. Tageblatt* dowiaduje się już nawet, że przy boku księcia Czartoryskiego pełniłby obowiązki tureckiego ministra - rezydenta Pszenny (?) bey, lub Zanny bey, obaj znani dyplomaci.

Ma się rozumieć, kandydatura ks. Czartoryskiego, gdyby nawet była poważnie postawioną, nie ma żadnych widoków powodzenia. Przedewszystkiem na tego kandydata Rosya i Niemcy nigdy by się nie zgodziły, powtóre książę Czartoryski jest za młody i nie wykazał dotychczas żadnych kwalifikacyi do zajęcia tego rodzaju stanowiska. Wprawdzie inni kandydaci nie mają więcej za sobą, ale mają mniej przeciw sobie.

Przypuszczać można, że sułtan, jeżeli miał projekt postawienia kandydatury ks. Czartoryskiego, chciał w ten sposób zaszachować bezwzględną natarczywość Rosyi, popierającej wybór księcia greckiego i zmusić ją przynajmniej do potargowania się w tej sprawie. Nazwisko Czartoryskich ma pewną tradycyę w Konstantynopolu, a dla dyplomacyi rosyjskiej jest przykrem. Tureccy mężowie stanu lubią czasem płatać tego rodzaju figle przeciwnikom. Nie trzeba jednak tych zręcznych wybiegów dyplomatycznych przeceniać i nadawać im znaczenia poważniejszego, niż mają w rzeczywistości.

KRONIKA.

= Junkrzy wschodnio-pruscy dla przeciwdziałania wpływowi *Gazety ludowej*, wydawać zaczęli w Ełku *Gazetę mazurską*. Redakcya tego gadzinowego pisemka znajduje się w landraturze.

= *Ruch katolicki* donosi, że w czwartek 24 lutego aresztowano w Warszawie urzędnika kolei warszawsko-wiedeńskiej p. Włodka i zamieszkałe w tym samym domu dwie panie i zabrano jakieś papiery i książki, których nie zdołano spalić. Aresztowanie p. Włodka jego żony i dwóch niewiadomego nazwiska pań nastąpiło z powodu denuncyacyi stróża. Jednocześnie, czy też w następnych dniach aresztowano podobno kilka jeszcze osób.

= W katastrofie w kopalni Hamme w Westfalii zginęło 4 górników Polaków.

= Do seminaryum katolickiego w Saratowie zakazano przyjmować kleryków Polaków. Ten zakaz, mający na celu „odpolszczenie katolicyzmu", pozbawi w krótkiej przyszłości setki tysięcy Polaków, zmuszonych przebywać w Rosyi, wszelkiej pociechy religijnej.

= Powiat wiejski bytomski na Górnym śląsku ma na przestrzeni 2 mil kwadratowych z górą 90 tysięcy mieszkańców, nie licząc Królewskiej Huty (50.000 ludności), która będzie wkrótce odłączoną i utworzy oddzielny powiat miejski.

= Sąd we Wrześni skazał na 2 i 3 miesiące więzienia robotników Polaków, którzy pobili swego towarzysza za to, że śpiewał pieśni niemieckie.

— P. Dutkiewiczowi w Inowrocławiu zabroniła policya pruska sprzedawania broszurek i zegarków z orłami oraz z napisem „Boże zbaw Polskę“.

— Gubernator płocki Janowicz podał projekt organizacyi pomocy lekarskiej, w którym doradza sprowadzanie lekarzy z Rosyi i osadzanie w szpitalach prawosławnych sióstr miłosierdzia. Projekt, zdaniem gubernatora, ma na celu zapoczątkowanie działalności samorządu ziemskiego w Królestwie.

— Policya warszawska rozkazała usunąć z wystaw księgarskich portrety Mickiewicza.

— Zbiór rozporządzeń, poleceń, postanowień itd. generał-gubernatora warszawskiego, wydawnictwo tajne, rozsyłane wyższym urzędnikom, zawiera między innemi wykaz kar pieniężnych nałożonych na wielu księży i rozkaz do dyrekcyi teatrów, żeby dała naganę artystce dramatycznej pannie Czaki za zadeklamowanie na wieczorku w Piotrkowie kilku utworów, cenzuralnych wprawdzie, ale mających treść patryotyczną i żeby zagroziła tej artystce dymisyą, w razie powtórzenia tego wykroczenia.

— W Żninie poturbowano burmistrza, który przybył w charakterze urzędowym na zabawę polską i zachowywał się niewłaściwie. Słusznem wydaje się przypuszczenie niektórych pism, że urzędnicy pruscy zaczynają prowadzić politykę prowokacyjną.

— Wilhelm II. pokazywał pp. Kossakowi i Fałatowi pokoje w pałacu swoim zwane *polnische Kammern*, ponieważ były przeznaczone dla królów polskich, gdyby przybyli w odwiedziny do Berlina. *Goniec* ironicznie zaznacza, że żaden z królów polskich ani elektorów brandenburskich ani królów pruskich nie odwiedzał.

— Kalendarz wydany w Opolu p. t. *Opolanin* skonfiskowała policya z powodu powieści p. t. „Kopciuszek śląski“, ale mogła zabrać tylko 265 egzemplarzy.

— Rada miejska w Cieszynie odpowiedziała odmownie na podanie rodziców 100 dzieci, żądające założenia szkoły polskiej, ponieważ taka szkoła „byłaby niepotrzebną“. Sprawa poszła do wyższej władzy, burmistrz zaś wzywa przez policyę podpisanych na podaniu ojców i wszelkiemi sposobami nakłania ich do cofnięcia podpisów.

— W Rio Claro (Parana) założony został pierwszy „Sokół polski“ w Brazylii.

— *Dziennik chicagoski*, organ stronnictwa klerykalnego, wyraża zdanie, że organizacye katolicko-polskie powinny się połączyć ze Związkiem narodowym. Byłby to fakt bardzo ważny w życiu wychodztwa naszego w Stanach Zjednoczonych.

— Związek wychodztwa polskiego postanowił zbierać składki na stypendyum imienia Adama Mickiewicza dla osób, poświęcających się badaniom w zakresie historyi piśmiennictwa ojczystego. Stypendyum ma przyznawać Rada Muzeum Narodowego w Rapperswylu. Składki przysyłać należy pod adresem: E. Korytko. Paris 45 rue de Trevise.

KRONIKA LITERACKA.

Zarys Historyi Polskiej aż do najnowszych czasów *przez prof. Anatola Lewickiego.* Książka p. Lewickiego uchodzi, poniekąd słusznie, za najlepszy podręcznik do nauki dziejów ojczystych. W trzecim wydaniu „Zarys“ uzupełniony „historyą porozbiorową“, doprowadzoną do ostatniej chwili, stanowi grubą bo 528 stronic dużego formatu obejmującą książkę. Uzupełnienie dzieła, było ze wszechmiar pożądanem, ale nie można powiedzieć żeby udało się autorowi. Na pochwałę jego zaznaczyć trzeba, że p. Lewicki starał się być treściwym i objektywnym, pominął jednak lub niewłaściwie oświetlił wiele ważnych stron życia narodowego. Nie mówi np. wcale o odrodzieniu narodowem Śląska pruskiego, olbrzymim wzroście świadomości narodowej ludu polskiego w ziemiach pod panowaniem pruskiem. Charakteryzując położenie narodowości polskiej w zaborze rosyjskim po r. 1864 nie wspomina ani o ruchu socyalistycznym ani znamiennych objawach ruchu patryotycznego w ostatniem dwudziestoleciu. To są przecie fakty, które można rozmaicie oceniać, ale których historykowi czasów porozbiorowych pomijać nie wolno. Niewłaściwym jest wreszcie zbyt pesymistyczny ton „ogólnego poglądu na epokę porozbiorową“, tymbardziej, że grzeszy niekonsekwencyą. „Mimo nadludzkich wysileń i niezliczonych ofiar krwi i mienia — pisze p. Lewicki — Polacy nietylko nie odzyskali niepodległości swej ojczyzny, ale doszli do dzisiejszego stanu tak smutnego, jakiego żaden inny naród europejski nie doświadczył. W Rosyi i w Prusiech skazani są na zagładę“... i t. d. A na tej samej stronicy, o kilkanaście wierszy niżej czytamy: „Mimo niezmiernie trudnych warunków i przeszkód, stawianych przez rząd rosyjski i pruski, wznosi się nauka i sztuka polska, wzrasta, gdzie może oświata ludu a z nią i świadomość narodowa, poprawia się moralny i materyalny dobrobyt społeczeństwa“.

Pomimo zaznaczonych i innych usterek książka p. Lewickiego, powtarzamy, jest względnie najlepszym podręcznikiem.

SKŁADKI

Na pomoc naukową dla relegowanych studentów warszawskich złożyli:

Wesołe grono nafciarzy wespół z kolejarzami zebrane w Krygu 25. zł.

D. J. w Szczakowie 1 zł.

Niemyski w G. 1 markę.

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

P. Zyg. w Mon. Prosimy o przyspieszenie wysyłki.

P. Arm. w Krak. Dotychczas, ile wiemy, przybyło do Galicyi 4 wydalonych studentów warszawskich, 2 do Krakowa i 2 do Lwowa, ci ostatni na politechnikę.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego. Wydawca i odpowiedzialny redaktor dr. Ernest Adam.